X/1406

KRÓL ZAMCZYSKA

POWIEŚĆ

SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO.

Drugie niezmienione wydanie.

POZNAŃ.
Nakładem N. Kamieńskiego i Spółki.
1847.

Drukowane za pozwoleniem Najwyższego Sądu Cenzuralnego w Berlinie.
Poznań, dnia 31. Marca 1847.

1406

I.

Machnicki waryat.

I.

MACHNICKI WARYAT.

Poezya jest wszędzie, w każdéj chwili, jak bóstwo, nikomu nie wzbronna, jak zbawienie, jak uczciwa sława. Nawet nasz wiek tak osławiony, tak okrzyczany prozaicznym, nawet nasze pokolenie, odsądzone od czci i wiary przez idealistów, mają swoją poezyę. Nie jest ona wprawdzie ani rajską, ani homeryczną, ani romantyczną, ale jest tak dobrą, jak wszystkie starsze jéj siostry, jest poezyą swojego czasu. Nie potrzeba jéj daleko szukać, nie potrzeba jéj uganiać po za obrębem dzisiejszéj ludzkości, nie potrzeba jéj sobie wymyślać, jest ona pomiędzy nami, w sferze naszego życia, naszych ludzi, w postaciach najpowszedniejszych.

O! ilcż to razy zdarzyło mi się słyszeć, widzieć, być nawet uczestnikiem takich spraw, że największy

poetyczny geniusz nicby poetyczniejszego wymyślić nie potrafił, że obok nich wszystkie utwory wyobraźni były poronionym płodem, obudzały niesmak w czytaniu. Dla tego przenosiłem zawsze towarzystwo ludzi nad towarzystwo książek, przyrodę nad bibliotekę. Chwile przeżyte pod wpływem takiéj poezyi, stanowią najdroższy zapas najmilszych w mojém życiu wspomnień: mam je z każdej epoki moich dziejów, a epoką najobfitszą może w taką poetyczność jest ostatni mój pobyt w krajinie podkarpackiéj: do niéj należy zdarzenie, które tu chcę opowiedzieć.

Badanie mojego kraju pod każdym względem jest wrodzoną mi namiętnością, a widok okolic szczególniejszy ma dla mnie urok, mocniejszy niemal niż znajomości z ludźmi. Pod takim bodźcem przebiegając wdłuż i wszerz Galicyą, znalazłem się w obwodzie Jasielskim, w okolicy Krosna, nad brzegami Wisłoka. Nie każdemu zapewne z moich braci wiadomo, że Podgórze Galicyjskie ukrywa miejsca najpiękniejsze w Polsce; trochę więcéj oświaty, trochę więcéj dobrego bytu między mieszkańcami, korzystniejsze cokolwiek położenie względem innych krain, a miałoby niepoślednią w Europie głośność. Obwód Jasielski, a mianowicie brzegi Wisłoka od jego źródła aż do Pilzna, odznaczają się już fizyonomią téj krainy. Najwydatniejszym jednak rysem okolic Krosna, najmocniéj pociągającym ku sobie moje oczy i serce, były zwaliska zamku Odrzykońskiego.

Wszelkie ruiny tego rodzaju są dla mnie jakby grobem rodzinnym, widmem przeszłości, hieroglificznym kluczem od wiekowych dziejów, światem niewyczerpanym wspomnień, marzeń, smutków i pociech rzewnych. Ile razy spojrzę na coś podobnego, tylekroć zdaje mi się słyszeć głos wewnętrzny: i tu pogrzebiony członek twojéj przeszłości! a wnet religijne uczucia napełniają duszę, myśl podnosi się, budzi wolę, kieruje krok pielgrzymi, i jestem śród gruzów.

Kilka dni już upłynęło od przybycia mojego w okolice Odrzykonia, a niemógłem zwiedzić zamczyska. Odległość, czas dżdżysty i inne przeszkody oddalały odemnie roskosz téj pielgrzymki. A tymczasem widmo zwaliska po całych mię dniach prześladowało. Panując wzniosłem położeniem nad okolicą, zdawało się z każdéj strony zachodzić mi w oczy. Nie było zmiany cienia i światła, w któréjbym go nie widział; nie było fantastycznéj postaci, któréjby nie wywołało z mojéj wyobraźni. Podniosłali się za nim nawałna chmura, to na jéj tle czarném poziéwającém błyskawicami, widziałem olbrzyma mojéj przeszłości, złamanego, zgruchotanego, zwalonego, miotanego śmiertelnemi bólami, ale dawna wielkość groziła z jego czoła, oddychał ogniem, wypuszczał grzmotami słowa błogosławieństw, strzałami piorunów przypominał się światu, że żyje: czasami zamgliła go siatka deszczu; wówczas tajemnicza jego postać, obwiana tą zasłoną, stała przedemną,

jak anioł wiary i nadziei: inną razą błyszczący całym przepychem dnia wschodzącego, był dla mnie uosobnieniem przyszłości, zmartwychwstaniem nowéj postaci, w promieniach nowego ducha; a i wtedy nawet, kiedy w przerwach słoty uśmiechał się ponurym blaskiem zachodu, i wtedy nawet obudzał tysiąc myśli nie całkiém ponurych. Jedném słowem, wszystko co doznawałem w owéj chęci i niemożności obejrzenia zwalisk, porównać tylko można z czuciami miłości w duszy dziewiczéj, z jéj marzeniami.

Tymczasem zbierałem troskliwie rozliczne wieści tyczące się jego dziejów. Źródło ich nie było obfite. Mógłem czerpać jedynie z towarzystwa, w którém żyłem; a wiadomo nam, jak mało teraźniejsza szlachta przywięzuje wagi do podobnych rzeczy. Obok ich gumien, obok ich gorzelni, czémże są te wszystkie choćby najpyszniejsze zwaliska? Wiadomość jarmarków w pobliskiém miasteczku, zabawa sąsiedzka, szczegóły jakiegoś wesela lub pogrzebu, tyle zatrudniają ich pamięć i myśli, że niema w nich miejsca dla podań jakiéjś tam ruiny. Nie mógłem przeto dowiedzieć się nic więcej, tylko, że zamek Odrzykoński zbudowany był przez Firlejów, że w jego okolicy musiały się odbywać krwawe bitwy, bo dziś jeszcze wyorują zbroje i kule, że przed kilkudziesiąt laty był zamieszkały, i przechowywał w swoich piwnicach odwieczne wino, że późniéj ludzie przybyli w pomoc losom, niepogodom i czasowi, i w zawody go niszczyli, że natomiast powstały z jego gruzów klasztór kapucyński w Krośnie, kilka kamienic w Korczynie, kilka gorzel-

ni, stajnia dla cesarskich ogierów, i tym podobnie: że dziś nakoniec razem ze wsią tego nazwiska jest własnością hrabiego Jabłonowskiego.

— Więc dzisiaj zupełnie zniszczony — mówiłem do gospodyni domu, która mi najwięcéj powyższych szczegółów dostarczyła.

— Prawie zupełnie — odpowiedziała — od czasu jak się zapadły dwa pokoje, które jeszcze przed laty kilką były zamieszkane.

— Zamieszkane? Przez kogo?

— Przez Machnickiego.

— Któż to był ten Machnicki?

— On jest jeszcze. Zapomniałam poznajomić z nim Pana. Najważniejszy to dzisiaj szczegół Odrzykońskich zwalisk. Machnicki jest, mówiąc krótko, waryat. — O przyczynach jego obłąkania rozmaicie powiadają. Najpodobniejsza do prawdy powieść, że będąc urzędnikiem cesarskim, oddał się zbytnie pracy swojego urzędu i tym sposobem stracił jednę klepkę. Po tym przypadku naturalnie został bez domu; a że miał zawsze szczególny pociąg do zamczyska, tam więc zamieszkał dwa pozostałe pokoje, i był ich mieszkańcem, dopóki nie runęły. Nadto, potrzeba Panu wiedzieć, że się nazywa Królem Odrzykońskim i uważa się za samowładnego pana owych ruin, a ztąd mamy nieraz pełno scen pociesznych.

Ciekawość względem podobnych ludzi jest łatwa do wytłumaczenia, nie dziw przeto, że mię zajęła powieść o Machnickim, i chciałem powziąść jak najdokładniejsze jego wyobrażenie.

— Pani go zna? – zapytałem.

— O mój Boże! — odpowiedziała z uśmiechem, — jak zły szeląg. Bywa u nas częściéj niż gdziekolwiek, bo trzeba Panu wiedzieć, że to nie jest waryat z rodzaju pospolitych: ma on wiele wrodzonych zdolności i nauki co i dziś jeszcze widać. Są chwile, że wziąłbyś go Pan za człowieka z najzdrowszym rozsądkiem. Zdarzyło się to niedawno jednemu z podróżujących cudzoziemców: Machnicki mieszkał jeszcze w swojéj królewskiéj ryzydencyi. Ów cudzoziemiec zwiedzając zamczysko, spotkał się z nim, wszedł w rozmowę, bo trzeba Panu wiedzieć, że Machnicki mówi bardzo dobrze kilką językami, i znalazł go tak dobrze, że wrócił do nas oczarowany tą znajomością.

— Któż? Machnicki?

— Ale, gdzie tam. Cudzoziemiec podróżny. Zaczął nam tedy opowiadać, że nie spodziewał się znaleść w tym wieku i w Polsce pustelnika tak rozumnego. Nie mało zadziwił się, kiedyśmy odkryli, kto to był w saméj rzeczy ów jego uczony pustelnik. Mimo to jednak pewna jestem, że odjechał, nie zupełnie nam wierząc.

— Z tego wszystkiego co od Pani słyszę, jestem bardzo ciekawy poznać Machnickiego. Szkoda że opuścił zwaliska, miałbym powód jeden więcéj do ich zwiedzenia.

— Nic łatwiejszego, jak go poznać, nawet w zamczysku, bo choć tam więcéj nie mieszka, to pracuje ciągle, wałęsa się po nich; codzień go Pan spotkasz. Ale byłby to trud niepotrzebny. Zobaczysz go Pan w naszym domu. Pojutrze imieniny mojego męża: Machnicki tego dnia nigdy nie opuści: zaszczyca nas co rok swojém powinszowaniem, bo trzeba Panu wiedzieć, że Machnicki jest także poeta, a wiersze jego wcale nie złe. Często obdarza niemi sąsiedztwo z powodu rozmaitych okoliczności. Najdziwniejsza rzecz w takim waryacie, że ma bardzo wiele dowcipu, ale dowcipu tak złośliwego, że nieraz można myśleć, czy nie udaje głupiego, aby mógł tém bezpieczniéj kąsać. Niektórzy *szczerze* gniewają się za jego przycinki, my co go lepiéj znamy, serdecznie się śmiejemy, bo czyż można gniewać się na biednego waryata? a że takim jest, sam Pan przyznasz, jak go tylko ujrzysz.

II.

Imieniny.

II.

IMIENINY.

Ze szczerą niecierpliwością wyglądałem owego dnia imienin, który miał mi nastręczyć sposobność poznania Króla Zamczyska; z powiększoną kiedy wreszcie nadszedł. Towarzystwo było liczne i przyjemne, ale ja o Machnickim tylko myślałem. Miało się już ku zachodowi słońca, a jego jeszcze nie było. Zabierano się właśnie do obiadu, kiedy oznajmiono przybycie gościa, oczekiwanego prawie przez wszystkich, ale przez wszystkich z innego, jak mój powodu. Byliśmy naówczas w jadalnéj sali. Otwierają się drzwi.

A! Pan Machnicki! Pan Machnicki! zawołano zewsząd.

On to był w istocie. Wszedł ze śmiałą pewnością siebie, którą daje, albo ciągłe życie śród świata ukształconego, albo uczucie wewnętrznéj wyższości nad

resztą towarzystwa. W nowoprzybyłym prędzéj to drugie dało się dopatrzyć: w ułożeniu jego przebijało się cokolwiek dumy, jednak połączonéj z pewną uprzejmą godnością, która waruje od ubliżenia innym. Po kilku krokach powitał stósownym ukłonem licznych do koła gości; a w téjże chwili podszedł ku niemu gospodarz domu, podał mu rękę, ścisnęli się wzajemnie.

— Wszak to dzień imienin Szanownego Pana? — pierwszy zaczął Machnicki.

— Tak jest — odpowiedział gospodarz — a dla mnie i stąd miły, że mogę powitać w moim domu, tak nam drogiego, a przecie tak rzadkiego gościa

— A dla mnie, rzekł Machnicki z zimnym, lekko szyderczym uśmiechem — stąd jeszcze milszy, że mogę mu złożyć moje życzenia. Na ten raz jedno tylko wynurzę, abyś nigdy nie wyszedł źle na swoich żądaniach, i zawsze więcéj żądał dla drugich, jak dla siebie. Reszta na potém, bo zdaje mi się, że obiad czeka gości, a goście obiadu jeszcze bardziéj.

Obecni temu, wszyscy prawie znali Machnickiego osobiście, oswojeni byli z tonem jego mów we wszystkiém znajdowali pobudkę do uciechy, powyższe więc słowa tylko ich rozśmieszyły, jak zwyczajne głupstwo: może to było i konieczne w tych, którzy oddawna znali go waryatem i ostrzelali się z jego przycinkami, ale na mnie ta krótka scena zrobiła przeciwne całkiém wrażenie. Żaden ruch, żaden wyraz Machnickiego nie uszedł mojéj uwagi, od czasu jak wstąpił do sali; i w niczém nie dostrzegłem owego okrzyczanego obłąkania. Przeciwnie wszystko wprowadzało mię na uroczyste

zastanowienie się nad nim, i podnosiło do wyższego stopnia ciekawość. Przypadek wygodził po części moim chęciom: zasiedliśmy do stołu prawie tuż na przeciw siebie. Ale długo nie mógłem z tego korzystać. Według zwyczaju mając wedle siebie sąsiadkę, miałem zarazem obowiązek służenia jéj i bawienia. Niewiem jak dopełniałem téj powinności, ale to pewna, że byłem głównie zajęty Machnickim, tak, że wkrótce, przy całém roztargnieniu, mógłem sobie narysować zewnętrzny przynajmniéj obraz jego fizyognomii.

Potrzeba sobie wyobrazić człowieka wzrostu więcéj trochę niż miernego, postawy prostéj, budowy silnéj, bark szerokich, z doskonałą harmonią we wzajemnym do siebie stosunku wszystkich członków, jedném słowem człowieka dobrze i pięknie zbudowanego, któremu jednak zbywa na cokolwiek stósownéj tuszy; przy takiéj budowie wyobraźmy sobie ruchy swobodne, naturalne, zgrabne, często żywe, a zawsze miarkowane pewną godnością, pewną powagą mimowiestną, niewymuszoną, napiętnowaną charakterem dawno ustalonym. Miał około lat pięciudziesiąt. Pokazywały to i włosy w połowie siwe, i cała powierzchowność twarzy. Mimo to odgadywałeś, że ta twarz była kiedyś ładna: chudość nie zepsuła jéj owalu, nie zaostrzyła zbytecznie rysów, a wydatniejszym zrobiła nos pociągły, z lekkiemi wypukłościami średniéj chrząstki i końcowego zaokrąglegnia. Nie była to jednak fizyognomia ludzi pospolitego rozumu i charakteru. Wpatrzywszy się w nią lepiéj okiem znawcy, dostrzegłeś pod zwierzchnią jej powłoką rysów połamanych przez uniesienia

namiętne, przez głębokie cierpienia, przez tortury ducha; jasno widziałeś w jéj głębi ruinę myśli, i obłąkania, ale obłąkania człowieka, który o ile w stanie zdrowia przenosił swoim rozumem rozumy pospolite, o tyle w samym upadku ostał się jeszcze w pewnéj nad niemi wyższości — uczucia. Najwyraźniejszém objawieniem tego smutnego stanu była dziwna *ruchliwość* oblicza. W chwili rozigrania, widziałeś tam na raz prawie kilka rozmaitych, najsprzeczniejszych wzruszeń, ale w każdém z nich było coś tak ślachetnego, że nawet w podobném pasowaniu się z sobą, nie szpeciły twarzy, nie robiły na patrzącym przykrego wrażenia. To samo działo się w dużych siwych oczach: czasem błyskały one takiém szczególném spojrzeniem, że blask ich przechodził w dziką jaskrawość; ale i wtedy uderzała cię tylko jakaś energia duchowa, jakaś żywość myśli, które lubo gwałtownie przelatywały, znać jednak było, że nie przelatywały samopas, ulegały kierunkowi pewnéj woli, i mimo przebłyskiwania, objawiały się silne, pełne i wykończone.

Widok téj twarzy w zupełném uspokojeniu niemniéj był ciekawy: wszystko wtedy oddychało w niéj jakiemś uczuciem wyższości nad przytomnemi, za nadto pewnéj siebie, żeby wpadała w zuchwalstwo, jakąś w rzeczy saméj myślą panowania: na dnie błyszczał niby wyraz młodości, jakby młodości duszy, jakby wiosna wyobraźni, a na tém wszystkiém leżała cicha ponurość, niby zasłona z przejrzystéj krepy, któréj wydatniejszemi fałdami były gęsto przez pół siwe i ciemne włosy na czoło nasunione z pewném zaniedbaniem,

i ciemniejsze jeszcze wielkie brwi nad okiem zwisłe. Głos jego był silny, dźwięczny, a obok tego czysty, przyjemny i łatwo gnący się do dźwięku wszelkiego uczucia.

W czasie tego obiadu chociaż jadł bardzo skromnie, a pił jeszcze skromniéj i to czystą wodę, mało się jednak odzywał, a zawsze zmuszony przez kogoś. Uważałem wtedy rzadką żywość i trafność w odpowiedziach, a w rozmowach tak krótszych jak dłuższych wielką łatwość i szlachetność tłumaczenia się.

I tego jednak co mówił, nie mógłem po największéj części dosłyszeć, wciągany nieraz przez moję sąsiadkę do nowéj rozmowy, którą przez grzeczność musiałem utrzymywać. Wkrótce ciekawość zwrócona w inną stronę, przemogła nad grzecznością: mimo całego przymusu odpowiadałem niestósownie, albo wcale nie odpowiadałem. Dyzharmonia między naszemi myślami była widoczna. Postrzegła wreszcie moja Pani to roztargnienie; zrazu zaczęła żartobliwie napomykać jego przyczynę, która kobiecie wydaje się jedyną i konieczną w mężczyznie młodym i nieżonatym, w końcu, zwróciwszy się ku drugiemu sąsiadowi, zostawiła mi zupełną swobodę zajęcia się Machnickim. Byłem jéj za to bardzo wdzięczny, bo właśnie téjże chwili rozpoczęła się znowu scena, która przedmiot mojéj ciekawości odsłoniła mi z innéj strony ważniejszéj niż jego powierzchowność.

Znajdował się w naszém towarzystwie pewien hrabia K..... Był to młody, dwudziesto kilko letni mężczyzna. Należał on, z rzemiosła swojego, do rzędu

ludzi, znajomych pod rodzajowém nazwiskiem *przyjemnych trzpiotów*, jakich ma każdy kraj, każda prowincya, każda okolica, każde miasteczko, każda koterya, a których wartość gatunkowa odpowiada sferze, gdzie krążą wyłączniéj. Hrabia K. był jednym z dowcipów podrzędniejszych, cyrkularnych. Nie przeszkadzało to jednak, że cały cyrkuł bawił się nim w najlepsze. Kobiety dobrego miejscowego tonu szalały za jego towarzystwem; młodzież, w pośledniejszéj swojéj części, naśladowała go w czém mogła; starsi i rozsądniejsi pobłażali, bo był hrabią i miał jaki taki mająteczek; zresztą był, jak to zowią, dobry chłopiec. Znał się na koniach i psach, strzelał celnie, jadł i pił o zakłady, śpiewał i gwizdał przy fortepianie, tańczył na zawołanie bez muzyki i pary, nie zostawił nikogo w spokoju, powolniejszym wręcz dokuczał, drażliwszych wydrzeźniał z tyłu, koniec końców błaznował, najczęściéj kosztem tych, nad któremi przystawało raczéj litować się; wszakże usprawiedliwiając go, potrzeba dodać, że przykry ten dowcip, miał źródło raczéj w głupocie jak w złém sercu, raczéj w zepsutym smaku towarzystwa, w którém żył, jak w skłonnościach wrodzonych. Wszedł on w nałóg złośliwego bawienia się, jak wchodzimy we wszelką rozpustę, przez poklask zepsutych. Dla podobnego człowieka, Machnicki, albo, że użyję całego wyrażenia samegoż hrabicza, Król Machnicki, był to prawdziwie *królewski kąsek*.

Całe towarzystwo wiedziało o przygotowanym napadzie na biednego waryata, czekało niecierpliwie, z nielicznym wyjątkiem, chwili starcia się dwóch takich za-

paśników, których już dla tego umieszczono przy stole obok siebie, i doczekało się nareszcie. Hrabia zaczął. Napełnił kielich winem, podniósł się, ułożył twarz figlarnie uroczyście i zawołał:

— Zdrowie Króla Odrzykońskiego! Oby jak najdłużéj panował dla naszéj radości, w takiéj mądrości i sławie u świata, jak dotąd.

Znaleźli się, którzy odpowiedzieli na ten toast, inni którzy szczerze zachychotali, inni wreszcie, którzy się zmarszczyli widocznem niezadowoleniem, do ostatnich i ja należałem; znam cześć dla gruzów umysłu ludzkiego jak dla wszelkich innych. Machnicki siedział nieruchomy, i byłby może takim pozostał, gdyby młodzik, zadaleko swój żart posuwając, nie był go trącił w ramię i nie przemówił z drwiącym grymasem:

— Królu, ażaliż grzeczność nie znana w twojém państwie?

Dziwna zmiana chwilowa, jak błyskawica mignęła przez oblicze Machnickiego i zostawiła po sobie tylko chmurną powagę, nalał spokojnie swój kielich wodą, i przemówił nie wstając z siedzenia:

— Przyjmuję zdrowie Pana Hrabiego w ten sam sposób w jaki było wniesione, i mam sobie za powinność odpłacić toast toastem, przemowę przemową. — Trzeba nam wiedzieć, moi Panowie, że są dwa rodzaje waryatów: jedni, których bardzo mało, wiedzą o swoim stanie, umieją go znosić i są tém, co właściwie zowią się waryatami: drudzy, z rozumem niedołężniejszym od waryacyi, sądzą, że mają najzdrowszy, ani na chwilę o tém nie wątpią, takich jest bardzo

a bardzo wiele, a nazwisko ich znajdzie Pan Hrabia w Słowniku swojéj grzeczności. Pierwszym i wino nie zaszkodzi, to tóż ich zdrowie można pić winem; drugim pomaga niekiedy zimna woda, dla tego wodą piję twój toast Panie Hrabio! *Oby podobni tobie rozmnożyli się bez liku u naszych nieprzyjaciół!*

Toast Machnickiego wzbudził śmiech głośniejszy i powszechniejszy jak pierwéj. Wielu cieszyło się kłopotem Hrabiątka tak samo, jak wprzody ostrym żartem z Machnickiego, inni zaś ze szczeréj przychylności ku sprawie zaczepionego. Wszakże ten usterk nie zraził jeszcze Hrabiego, przynajmniéj umiał go pokryć głośnym śmiechem, chociaż widać było wymuszonym.

— Jak to Królu — zawołał, nachylając się uprzejmie ku Machnickiemu — tybyś miał się gniewać za życzenie, dalibóg serdeczne? Otóż dla przebłagania ciebie, chcę odtąd zostać najwierniejszym twoim poddanym.

— Przepraszam — odparł natychmiast Machnicki z niewzruszoną powagą: — Moją polityką jest, niecierpieć w mojém państwie większego odemnie.... Króla ma się rozumieć. Panie Hrabio, z twojém szlachetném usposobieniem prędkobyś mię z tronu zsadził.

Śmiech towarzystwa jeszcze się bardziéj powiększył, czuł teraz Hrabia, że jego kosztem, że kosztem jego dowcipu, który się rozbił o głupstwo niby waryata i nie znalazł już mocy pokryć swojéj przegranéj choćby udanym śmiechem, ale stracił do reszty przytomność dobréj myśli, kiedy Machnicki, który przez cały ten czas wpatrywał się w grę jego oblicza z zi-

mném szyderstwem politowania i wzgardy, zawołał ze swojéj znów strony, jakby naśladując Hrabiego:

— Jakto? Panie Hrabio, ażaliż niema już dowcipu w twoim dowcipie? — a na zakończenie uderzywszy kielichem w kielich, który właśnie pomieszany Hrabia niósł machinalnie do ust, zawołał: a więc zgoda dwóch półgłówków! Któż z nami, jeśli my przeciw sobie?

Żartowniś dobity tym ciosem, któremu nie przestawał towarzyszyć barbarzyński śmiech wielkiéj części towarzystwa, byłby może wypadł z karbów okoliczności i szczerym gniewem wybuchnął, gdyby litość kilku roztropniejszych kobiet, zwykle przytomnych w podobnym razie, nie była nadała zabawie innego kierunku.

— Panie Machnicki — zawołała jedna z nich, zaimprowizuj nam cokolwiek z łaski swojéj. Już tak dawno nie mieliśmy przyjemności słyszeć jego poezyi. Powiedz nam co wierszami.

Na ten głos Machnicki wrócił do zwyczajnéj postawy przy stole, postawił spokojnie kielich, i pojrzał do koła z taką twarzą, jak żeby nie było na niéj przed chwilą żadnego wzruszenia, odezwał się tylko:

— Ma to być drugi akt komedyi! ale z uśmiechem więcéj łagodnym jak szyderskim.

— Prosiemy!

Machnicki skinął ręką na uciszenie.

— Z całego serca! — rzekł. — Wymawiam tylko sobie, aby nie miano do mnie żalu, gdyby jakim przypadkiem niepodobało się coś w moich wierszach komukolwiek. Państwo wiecie zapewne, że człowiek opętany natchnieniem Poety przestaje być sobą. Każdemu

z nas, jak tu jesteśmy, zdarza się, jeśli nie ciągle to przynajmniéj codzień gadać nie wiedząc co gada, chociaż prozą; a cóż dziwnego, że człowiek mówiący wierszami i bez przygotowania nie jest czasem panem słów i myśli. Będę improwizował, jeżeli się naprzód zapewnię, o takiém pobłażaniu:

Chętnie jałmużnę dajecie
Żebrzącéj o grosz niedoli,
Nie odmówcież dobréj woli,
Waryatowi Poecie.

Wszak to worka nie wysusza,
A skorzystać może dusza:
A czyja? zapewne wiecie.

Ze szczerą ciekawością wpatrywałem się w Machnickiego i chwytałem każde jego słowo. W rzeczy saméj zdziwienie moje było nadspodziewane, nad ową łatwością wysłowienia się i szybkością myśli, co tak przelatywała z jednego tonu w drugi. Znać w tém było nietylko wprawę, ale swobodę ducha i władzę nad myślami, którą natchnienie tylko dać może. Niemógłem wstrzymać się od pomyślenia w duchu: ten człowiek nie na waryata się rodził, a przynajmniéj nie na zwyczajnego! Kiedy zaś umilkł na chwilę, jak żeby czekał od obecnych przytwierdzenia swoim słowom, zawołałem pierwszy, stósownie do ostatniego wiersza:

— Wiemy! wiemy! i z rozkoszą słuchamy daléj! Kilka już razy z powodu sceny poprzedzającéj, dałem uczuć Machnickiemu swoję dla niego życzliwość, ale uważałem, że w téj chwili przyjął ją lepiéj, niż kiedykolwiek, i mocniejszą zwrócił ku mnie uwagę. Wzrokiem szczególniéj przenikliwym dłużéj na mnie spoczął, jakby mię chciał zbadać na wskróś, a znalazłszy zapewne w mojém odezwaniu się szczerość, uśmiechnął się lekko, pewném zadowoleniem, i uważałem, że w ciągu dalszéj improwizacyi na mnie opierał główne swoje wejrzenia. Tymczasem wziął w rękę próżny kielich i tak kończył:

Mamy dziś święto sąsiada!
Tak nam kalendarz powiada.
By nie zostać niegrzeczniejszym
Od samego kalendarza,
I długami serca dłużnym,
A więc przy święcie dzisiejszém
Piję zdrowie gospodarza,
A piję kielichem próżnym.
Jeśli próżny, mojaż wina?
Mój kraj pustka i ruina,
Bo mój kraj, to serca wasze:
Zkądże wam napełnię czaszę?
Czyż z méj duszy? na to zdrowie
Nikt mi pewno nie odpowie.

A chociażbym z niéj i nalał,
Cóżby się stało z wami?
Każdyby jak ja oszalał
Lecz nagrodzę życzeniami.

O! życzeń tyle co nędzy.
Wszystko zamknę w krótkiém słowie:
Obym pić mógł jak najprędzéj
Z pełnego dzisiajsze zdrowie,
A życzył rozumnie — w prozie —
Na wszystkich świętych w obozie —
Przy zastawie bojowiska,
Śród prochu, ognia i dymu!
Tak wam mówi król zamczyska:
A co mówi to dla rymu.

Taka była improwizacya Machnickiego, i z małemi zapewne odmianami, bo ją w téjże chwili odpisywałem. Jako poezya nie ma ona zapewne nic szczególnego, zwłaszcza w czytaniu; ale trzeba ją było słyszeć w ustach Machnickiego. Z żywym dźwiękiem jego głosu, ze szczerém uczuciem wezbranego serca. Nadto przy całym tonie ucinkowym i lekkim, niemożna jéj zaprzeczyć pięknego głównego pomysłu i prawdy, lubo za cierpkiéj, wszakże zawsze prawdy, a zwłaszcza dosyć zastósowanéj do osób i okoliczności. Dla tego powszechne zrobiła ona wrażenie; a to, którego ja doznałem, nie było najmniejsze. Kiedy więc inni podnieśli oklask i krzyk brawa, ja korzystając ze zgiełku, przechyliłem się przez stół ku Machnickiemu i szepnąłem półgłosem:

— Winszuję Panu nie rymu, ale sensu.

— Pan go dostrzegłeś? — zapytał Machnicki.

— Bez trudu.

— Ale tego, oprócz Pana, nikt tu więcéj nie powie.

— Bo niechce.

— Masz Pan słuszność. Udają, że się bawią waryatem: niby lepsi od niego. Smutna to rzecz jednak! — i westchnął głęboko. — Patrz, jaka uciecha z własnéj hańby.

Rozmowę naszą przerwała koléj toastów, kończących obiad. Następnie muzyka wezwała do tańców. Powstano od stołu. Wszystkie moje chęci zmierzały do tego, żeby wejść w ściślejszą znajomość z Machnickim: szukałem go na wszystkie strony, niebawnie postrzegłem. O jedném widać myśleliśmy oba, gdyż pierwszy przystąpił do mnie. Byliśmy tylko we dwóch na ustroniu.

— Pan nie lubisz tańców? — zapytał mnie.

— Przeciwnie.

— A jednak nie tańczysz.

— Od jakiegoś czasu.

Ja się uśmiechnąłem, on zamyślił się na chwilę.

— Dobrze Pan robisz. Od jakiegoś czasu — a mówił to z wydatnym przyciskiem — niktby tańczyć nie powinien: ale poradź-że tu z tymi ludźmi!

Zatrzymał się znowu, zachmurzył się, po chwili przybrał twarz obojętną i obojętnie mię zapytał:

— Pan zapewne z dalekich okolic?

— Tak, niedawno poznałem tutejsze.

— Niewiele zyskałeś.

— Przeciwnie, odpowiedziałem ze szczerą uprzejmością, — miałem przyjemność poznać Pana Machnickiego.

Pojrzał z niedowierzaniem.

— Ale ten Machnichi Waryat!

— Nie dla mnie, jak dotąd, — odparłem z uśmiechem, a na dowód pokazałem mu odpis jego improwizacyi; — w tém przynajmniéj widzę więcéj, jak rozum pospolity.

— A u nich jednak to waryacya.

Po chwili nowego milczenia nagle zapytał:

— Widziałeś Pan zamek odrzykoński?

— Zdaleka.

— Więc musisz tu być bardzo niedawno?

— Od tygodnia.

Na tę odpowiedź postrzegłem niezadowolenie w twarzy Machnickiego.

— Jak to? od tygodnia tu być i nie poznać zamku! To jednak tak blisko! A choćby i najdaléj? Drugiego takiego miejsca nie ma na ziemi. Powinniśmy do niego pielgrzymować, jak Muzułmanie do grobu proroka.

Mówiąc to, podnosił głos coraz wyżéj, ruchy ciała ożywiały się, na twarz występował dziwny, wewnętrzny płomień; po raz pierwszy postrzegłem w nim obłąkanie.

Wymawiałem się jednak szczerze, przeszkodami niezależnemi odemnie, jak było w istocie. Machnicki słuchał niecierpliwie, gotował się widać do nowego uniesienia, kiedy wpadła pomiędzy nas trzecia osoba. Machnicki zwrócił się nagle i odszedł. Widziałem go jeszcze raz z daleka, zdawało się, że chciał znowu mię spotkać i mówić, i widać było, że się wahał: wkrótce straciłem go całkiem z oczu: jakoż powiedziano mi, że opuścił towarzystwo niepostrzeżenie. Było to nad moje spodziewanie: mocno żałowałem, żem puścił mimo tak dogodną zręczność lepszego zbadania téj szczególnéj istoty. Nie pozostało mi teraz, jak szukać go w zamczysku: i na to przeznaczyłem nieodmiennie dzień następujący.

III.

Zamczysko odrzykońskie.

MUSEUM
NIEBORÓW

III.

ZAMCZYSKO ODRZYKOŃSKIE.

Nazajutrz ledwie dzień zaświtał, byłem już w podróży do zamczyska, bo chciałem razem z niém wschód słońca powitać. Poranek był prześliczny, jak tylko może być poranek majowy i pogodny, po tylu dniach nieba zachmurzonego. Droga pięła się pod górę pomiędzy sadami lub lasami. Oko w każdym kierunku odpoczywało na śniegach drzew rozkwieconych; wszystkie wiatry powiewały woniami fiołków. Zielona szata okolicy srebrzyła się perłami rosy. Niewysłowiona, czarująca świeżość, jak swoboda lat młodzieńczych, przenikała i zachwycała duszę, grała we wszystkie zmysły. Droga tymczasem coraz przykrzejszą, las ciemniejszy, skały gęściéj szarzeją, dzikość pustyni coraz wyraźniéj czuć się daje, urok miejsca coraz silniéj pod-

bija duszę, nagle puszcza się rozstąpiła, i zamek w całéj pogrobowéj okazałości stanął przedemną.

Nie będę się rozwodził, z jakiém uniesieniem powitałem ten widok, nie będę opisywał wrażeń, które zrobił na mnie pierwszy przegląd tego ogromu gruzów: tam, gdzie każda ściana, każdy zakąt, każdy kamień, każdy krok wyprowadzały czarodziejską rószczką z mojéj duszy nowy coraz potok uczuć i marzeń, otwierały mi nowe światy, szczegółowy opis byłby może zanadto nużący, a co pewniejsza, niepodobny do wykonania. Dodam nadto, że celem niniejszéj powieści nie jest obraz moich wrażeń, lecz proste opowiadanie, a główną jéj osobą nie ja, lecz król zamczyska. O tyle więc jedynie opowiadam, com widział lub czuł, o ile to potrzebne do utworzenia tła, na którémby przedmiot obrazu wydał się jak najwłaściwiéj, jak najdobitniéj. Z tego tylko powodu uznaję za konieczne, rzucić kilka zarysów ogólnych zamczyska i jego okolic.

Zamek Odrzykoński leży na północ Krosna. Posadą jego jest góra należąca do łańcucha jednéj z Karpackich odnóg, okryta świerkowemi lasami, jak cały szereg jéj rodziny. Zamek zajmuje najwyższą jéj wyniosłość, która ją widocznie od innych odosobnia. Ów szczyt najeżony jest ogromnemi bryłami głazów, pomiędzy któremi rosną pomieszane brzozy, sosny, buki, a z drobniejszych krzewów, głóg, jałowiec, dzikie róże, jeżyna i tym podobne. Sam zamek po największéj czę-

ści wygląda jak mogiła gruzów, jednakże znaczna część murów, zwłaszcza zewnętrznych, stoi dotąd nieporuszona. Najwyższa część zamku, zajmuje południowy bok szczytu, najniższa zachodni. Ściana północna cała prawie ciągnie się w linii prostéj, równolegle niemal do południowéj, kąty innych części są w rozmaitéj wielkości. Taki jest ogólny rysunek zwalisk, inne szczegóły będą mieć miejsce w dalszém opowiadaniu.

Znużony pieszą wędrówką i szybkim a trudzącym przeglądem gruzów, wzruszony do głębi duszy ich widokiem, czułem nakoniec potrzebę wytchnienia. Obrałem na to miejsce, zkądbym mógł ogarnąć jak największą przestrzeń najładniejszéj okolicy: i w saméj rzeczy miałem niezmierny, porywający widok, szczególniéj od południa i zachodu. Z jednéj strony padół zaledwie obejrzany, zasiany miasteczkami i wsiami, pocieniowany lasami, przepasany łożem Wisłoka, z drugiéj zaś pasmo Karpat rozłożyły się przed mojém okiem bez żadnéj zasłony. Nie miałem jednak dosyć czasu nasycić się pięknością tego obrazu: wkrótce rumiana zorza wschodu odbiła się na dalekich szczytach, zwiastując słońce; ku wschodniéj więc stronie zwróciłem oczy.

Po chwili i słońce zjawiać się poczęło w grubéj chmurze, jakby go noc ze swoich objęć wypuścić jeszcze nie chciała; chmury wprawdzie opadły i rozpierzchły się, a słońce zabłysło od razu w całym bla-

sku, ale był to blask zawczesny, południowy, przykry, który w ciągu dnia deszcz zapowiada, blask oka, któremu na płacz się zanosi, którego powierzchnia jaśnieje szczęściem, kiedy na dnie jego podnosi się z głębin duszy chmura smutku, przeczucie boleści.

Taka chwila ma właściwy sobie urok i przedstawia jasne podobieństwo stanu przyrody zwanéj martwą, ze stanem duszy ludzkiéj. Przedmioty oddalone zazwyczaj zbliżają się do siebie; rzekłbyś, że chcą napatrzyć się sobie, zaczém je mrok chmury rozłączy; kwiaty mocniéj wonieją, jak żeby spieszyły się z daniną kadzidła krótkim chwilom pogody; mimo godziny porannéj zaduch południa; mimo przepychu światła jakaś w nim melancholia, jakiś brak, coś nakształt owéj niepojętéj tęsknoty, która ani swojego źródła, ani swojéj pociechy znaleść nie umie.

Takie było oblicze owego poranku; nieznacznie mimowiestnie wpływ jego i mnie ogarnął, tém łatwiéj, że mię usposabiało do rozrzewnienia się samo miejsce, gdzie się znajdowałem. Posępne dumanie przegrywkiem odzywało się z razu po stronach duszy, zwolna ułożyło się w piosenkę mniéj więcéj wyraźną, aż nastroiwszy do swego tonu czucia i myśli, wylało się na papier w następnym wierszu:

Wędrowcze ruin, ruin kochanku,
Jaki cię smutek naciska?
Anioł przeszłości, anioł poranku
Spotkały się u zwaliska.

Widzę w objęciu nadziemską parę,
Widzę ich dwa widma chmurne.
Jak razem płaczą, jak łez ofiarę
Kładną, razem w gruzów urnę.

Stary czas odżył smutną pociechą
I zajęczał im w podzięce;
Słyszę jęk jego, jak dzikie echo,
Po bolesnéj gór piosence.

Wciąż koniec śpiewu. Kiedyż pieśń nowa
Rozpocznie się przez kwilenie
Nowych narodzin? Paro duchowa
Daj mi przyszłości widzenie!

Skończyłem właśnie odczytanie powyższéj dumki, kiedy usłyszałem za sobą głębokie westchnienie; obejrzałem się i postrzegłem Machnickiego. Stał tuż przy mnie; z oblicza widać była zachwycenie w myśli, na oczach łzy stały; wszakże strój osobliwy szczególniéj mię uderzył. Suknie schodzone cokolwiek, były jednak porządne i ułożone z pewną starannością, nie wydawały pomięszanego umysłu; za to szczersze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelusz otoczony wieńcem z gałązek róż dzikich, okrytych na pół rozwiniętych kwiatem, gałązka świerku sterczyła zamiast kity, piersi całe okryte były to rozmaitemi kwiatkami polnemi, to liśćmi, w ręku trzymał kość z ręki ludzkiéj, jak mi się widziało na pierwsze wejrzenie. Ten strój tak odmienny od wczorajszego, przez co nie mógłem go od razu poznać, obok tego rozmarzenie poetyckie nie całkiem jeszcze rozproszone, sprawiły, że

jakiś czas byłem jakby pomięszany: i niewiedziałbym od czego zacząć rozmowę, gdybym się nieupewnił w tejże chwili, że mój kłopot był daremny, bo Machnicki zaczął pierwszy. Stał on jeszcze w postawie, w jakiéj go postrzegłem, z tymże wyrazem zachwycenia w obliczu; zwolna podniósł nad głowę kość, którą trzymał i uroczystym przeciągał głosem: anioł przeszłości, anioł poranku, spotkały się u zwaliska!

Zamilkł, zniżył kość z tąż samą powagą, z jaką ją podnosił, pilnie wpatrzył się we mnie, i rzekł niezmieniając wyrazu twarzy:

— Ja, król Odrzykoński, nieograniczony pan tych gruzów, stróż ich przeszłości, a przód jako król wynurzam ci wdzięczność, żeś godny hołd złożył mojemu królestwu; biorę cię przeto pod moją opiekę, jak długo zechcesz przebywać w mojéj dziedzinie, w dowód czego dotykam cię tém mojém berłem, a teraz.... — zmienił nagle twarz, i z uprzejmym uśmiechem uścisnął serdecznie moję rękę — a teraz witam jako brat brata, a przedewszystkiém najmocniéj przepraszam, jeżeli mojém nadejściem przerwałem chwilę jego natchnienia. — Podobne chwile są nieopłacone i ja znam ich wartość i ja także jestem poetą. Szczerze więc przepraszam.

Ja to pierwszy powinienem żądać przebaczenia, że bez wiedzy króla śmiałem wejść w jego państwo. — odpowiedziałem, stosując się do królewskiéj Machnickiego roli.

— Ztéj strony bądź spokojny — rzekł Machnicki z coraz większą uprzejmością — już po wczorajszém

poznaniu, chociaż dalekiém, serce moje przychyliło się ku niemu; życzyłem sobie jego odwiedzin: z razu chciałem mu to oświadczyć, rozważywszy, zaniechałem. Cobym mówił z pełności serca, toby wzięto za wybryk waryata. Mniejsza o mnie, ale część mojéj śmieszności i na niegoby spadła. Pan znasz świat — znasz wczorajsze towarzystwo — wiesz jak mnie uważają, wiesz to dobrze — niech to pana nie mięsza. Ja nie gniewam się na tych ludzi, bo znam ich dobrze. Nie czuję się nigdy mędrszym, lepszym, jak kiedy jestem pomiędzy nimi. Jednego kamyka tych gruzów nie oddałbym za najczulsze z ich serc — ten kwiatek przekwitły więcéj ma duszy, jak oni. Żadnego z nich nie chciałbym mieć moim poddanym. — Wolę tym gruzom królować. Z tém wszystkiém nie są oni najgorsi. O! daleko gorsi są od nich. Oni nawet dobrzy ludzie podług ich czasu, podług ich rozumu, ale waryaci. Mógłem być ich królem, i nie chciałem. — Dla czego? jak? Kiedy się lepiéj poznamy, sam przyznasz mi słuszność. Ale zostawmy to na późniéj. Obyczajem świata zaczniemy rozmowę od pogody. Wybrałeś pan do wędrówki prześliczną chwilę, tylko niepewną.

— Bardzo tego żałuję — odpowiedziałem — widoki cudne: potrzeba wiele swobodnego czasu, żeby się niemi nasycić.

— Masz pan słuszność. Okolica prześliczna, ale to tylko ciało, cóż gdybyś pan duszę zobaczył! Jaka olbrzymia, jaka wzniosła! Geniusz ożywiłby nią dwadzieścia milionów. Tylko że to jest tajemnica, wielka,

zaklęta tajemnica. Krocie ludzi rodzą się i umierają pod bokiem tych gruzów, a żaden ani się domyśli ich prawdziwéj wartości. Gruzy i gruzy! powiadają oni; stare, okazałe, to prawda, ale nic więcéj, tylko gruzy jakiegoś zamku. A ja Panu powiadam, że te gruzy większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większe od gruzów niejednego narodu. Gdyby mi wolno było, podnieść ich zasłonę, świat z boleści wziąłby się za włosy; zobaczyłby pod niemi przestrzeń pustyni większéj jak Sahara, w każdym kamieniu trupa, w każdéj warstwie muru pokolenia wymordowane, zobaczyłby rzeki z łez i krwi; ich wysokość myślą jedynie musiałby zgadywać; wieża Sennaru pigmejczyk przed niemi. Jest coś, jak majestat narodu.

— Wierzę panu.

— Nie dziwiłbym się, gdybyś nie wierzył; za krótko jesteśmy z sobą. Ale późniéj, może.... tu zatrzymał się i nagle przeszedł z widocznym umysłem do innego przedmiotu. — Podsłuchałem wiersz pana. Nie przepraszam go za to. Wszak jestem tu królem: mam prawo i powinność, wszystko widzieć i słyszeć, co się w mojém państwie dzieje. Nie powinieneś urażać się o to; nie straciłeś pan na mojéj ciekawości. Z téj jednéj chwili poznałem go lepiéj niż gdybyśmy sto imienin razem obchodzili. Widzę u pana usposobienie bardzo dla niego pochlebne, a które daje mu prawo.... nagle zatrzymał się i patrzył mi w oczy długo okiem, ani na chwilę niezmrużoném, bystrém, przenikającém duszę w różnych kierunkach, zawołał

potém: tak, możesz pan śmiało pytać o wszystko, co się tyczy mojego królestwa, objaśnię go, o ile mi wolno.

Podziękowałem w krótkich słowach i zacząłem od sprawdzenia już mi wiadomych szczegółów: — ten zamek — rzekłem — Firléj podobno założył za panowania któregoś z Zygmuntów.

— Firléj! Zygmunty! — powtarzał Machnicki z uśmiechem przekąsu — bajki! ale nie tu miejsce mówić o tych rzeczach. Tu każde echo złapałoby moje słowo, a tysiąc wiatrów nieprzyjaźnych rozniesłoby je natychmiast — o! mam ja potężnych nieprzyjaciół i tutaj, jawnych i utajonych — muszę być ostróżnym. Gdybym panu powiedział ostatnie słowo tych gruzów, spędzonoby wszystkie pułki piekielne, aby ich ślady nawet zadeptać. Ale od czegoż mądrość stanu? muszę dyplomatyzować.

W tém miejscu muszę przyznać czytelnikowi, że dotąd jeszcze uważałem Machnickiego za zwyczajnego obłąkańca, i stósownie téż przyjmowałem monetę jego mowy. Jego więc odpowiedzi, zboczenia, uniesienia się, nie przerywały głównego ciągu mojéj myśli, nie psuły szyku zapytań, które podobny przedmiot nastręczał, na które przedewszystkiém chciałem mieć odpowiedź, dla tego mówiłem daléj:

— Powiadają, że jeszcze niedawno znaczna część zamku była mieszkalną?

Machnicki milczał.

— Największą część rozebrano podobno na inne budowy w okolicy? postawiano kościoły, kamienice, stajnie! Co za świętokradztwo! Mówiono mi, jeszcze przed laty kilką były tu komnaty zupełnie całe? W tych okolicach miały być wielkie bitwy?

Machnicki wciąż milczał, tylko się coraz widoczniéj zachmurzał, czasem wyrzekł — tak — lub nie — porwał się potém z miejsca i zawołał:

— Po mojém królestwie nie można podróżować zwyczajnym sposobem wędrowców. Są pewne formy, których nie wolno przełamać. Chodź pan za mną — niebo coraz się bardziéj zachmurza, będziemy mieli burzę, korzystajmy z pogody.

Przyszliśmy tedy pod jednę wieżę okrągłą, poszczerbioną, ale jeszcze znacznéj wysokości.

— Masz pan mocną głowę? umiesz drapać się po murach? wejdziemy na tę wieżę.

Zmierzyłem, opatrzyłem ją i widziałem, że po jéj szczerbach jak po schodach można się na sam wierzch muru wydostać, przystałem więc na żądanie Machnickiego. On przodkował z nadzwyczajną zręcznością; po chwili staliśmy na szczycie, nad wysokość reszty zamczyska wyżéj niż wierzchołki drzew okolicznych, z widokiem swobodnym na wszystkie prawie strony.

— Co za widok! — zawołałem — sądzę, że promień jego ma przynajmniéj kilka mil długości.

— Kilka mil! — powtórzył Machnicki, patrząc mi w oczy, i to poeta tak się wyraża? poeta tyle tylko widzi? A ja, kiedy tu wejdę, kiedy położę oko na tych górach i trąoę je myślą, wnet lecę

chmurą grzbietami całego łańcucha Karpat, ocieram się o morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, po nad Dźwiną przechodzę do Baltyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry i po nad Odrą wpadam znowu na Karpaty; a zawsze pilnując się krawędzi tego horyzontu. — Rozumiesz mię pan?

— Nie wiem, czy tyle, ilebyś pan chciał być zrozumianym.

W téj chwili na twarzy Machnickiego objawiała się jakaś dziwna wewnętrzna walka, jak żeby słowa ogromnego znaczenia darły się do ust, a myśl tajemnicy gwałtem je zatrzymywała.

— Nie, nie! — zawołał w końcu — lepiéj być niepojętym, jak narażonym na zdradę.

Wnet postrzegł się, że wybuchnął z czemś niewłaściwém, zwrócił się ku mnie, wziął z dobrocią za rękę i pytał:

— Co ja powiedziałem? może niedorzeczność. Przebacz pan! — wszak wiesz, żem waryat — i ja to wiem. Ja sam często postrzegam, że mi się wymknie słowo, ni przyszył, ni przyłatał, jak powiadają. To waryacya, waryacya! Ale to nie waryacya, że potrzeba tak widzieć, jak ja widzę z tego miejsca, aby je pojąć. Wtedy popiero widziałbyś pan, jak przyjmować powszednie bajeczki, które mu naklektano. Chodźmy ztąd.

Spuściliśmy się znowu na dół w milczeniu. Przez ten czas rozważając w duchu dziwną istotę Machnickiego, mniemałem dostrzedz w nim przeważający ży-

wioł poetycki, który przy osłabionych innych władzach umysłu panował nad tém silniéj i stał się dla jego duszy szkłem optycznem, pokazującém jéj cały świat w postaciach powiększonych i upięknionych za rzeczywisty; widziałem, że go raziła moja prozaiczna szczerota, odtąd więc postanowiłem być z nim poetą. W tém zamyśleniu postępowałem w głąb zwalisk, kiedy Machnicki wstrzymał mię:

— Za pozwoleniem! — rzekł — panu wolno tu błądzić, ale nie mnie. Pan nie widzisz, jak ja, przeszłości nie widzisz tu, jak ja, jéj śladów; ciężkobym przewinił, żebym się ich nie trzymał; okropniebym za to odpokutował. Chcesz pan mieć wyobrażenie mojéj kary? pojrzyj na te miliony do koła. Zresztą jako król mam także moje dworskie obrzędy, których się trzymać i których przestrzegać muszę.

Zwróciliśmy się więc nazad, w kierunku południa i wyszlismy zupełnie za obręb gruzów. O kilkanaście kroków leżał ogromny głaz samorodny. Machnicki podprowadził mię ku niemu i rzekł:

— Przedewszystkiém cześć grobom! Tu pod tym kamieniem leży ostatnie półtora wieku. Olbrzymie zwłoki! nie prawdaż? Kto nad niemi nie pomodli się, ten jak niegodny, niepoświęcony wchodzi do tego zamku, do całéj przeszłości — po czém zdjął kapelusz, ukląkł, dał mi znak, żebym to samo zrobił, wpatrzył się w kamień, nieznacznie twarz jego zmieniła się w bryłę bez wyrazu prawie życia, jak żeby duszę uniosło jakieś zachwycenie daleko od ciała, mimo to rzęsne łzy posy-

pały się z oczu, a usta, jakby obcym głosem, jakby poruszone zewnętrzną sprężyną przemawiały te słowa:

— Każesz! słucham. Jeszcze raz posiewam cię łzami. Na łzach mech wyrasta, ze mchu ziemia. W ziemi skrywa się ziarnko, z ziarnka strzela drzewo — tak Karpaty lasami porosły: tak ty grób porośniesz nowém życiem. Płyńcie łzy! policzą was kiedyś, zapłacą!

Skończywszy ów dziwny monolog, był jeszcze jakąś chwilę w stanie zewnętrznego odrętwienia, powoli ruszył okiem, życie wróciło do twarzy, powstał, pojrzał na mnie, i obcierając ślady łez, zapytał:

— Płakałem? Nie dziw się pan — ile razy je widzę, tyle razy płakać muszę. Ale i to paroxyzm waryacyi! powiedzą sąsiedzi: nie prawdaż? O, gdyby każdy z nich miewał podobny przynajmniéj raz z rana, a raz w wieczór, ten zamek stałby jeszcze cały, a przynajmniéj już odbudowany. Widzisz pan do koła te głazy? Wszystko to są groby, ale jakie groby! Całe zastępy bohaterów, czyny wiekowe, miasta, wieki, kraje, leżą pod niemi. Ten na boku naprzykład, u samego wchodu do zamku, kryje wyprawę wiedeńską..... Ale za mało dziś czasu na obejrzenie całego cmentarza, burza nam przeszkodzi.

W saméj rzeczy, im wyżéj słońce się podnosiło, tém większy zaduch napełniał powietrze, chmury gęstniały i grzmot burzy co chwila groził.

Przebyliśmy święty próg zamku, możemy wejść wewnątrz! — rzekł Machnicki i szedł przodem.

Ostatnia scena przy głazie wpłynęła osobliwym sposobem na mój umysł, uderzyła na prawdę w poetyczną strunę duszy. Jakkolwiek poetyczność Machnickiego objawiała się zanadto może jaskrawo, była nią jednak, i przepłynęła do mojéj fantazyi, pozwólmy, że jak tchnienie zarazy. Owo przeobrażenie głazów prostych w podobne nagrobki, zdało mi się być pomysłem tak pięknym, otwierało takie pole fantazyi, że mimowiestnie wszedłem w świat Machnickiego. Kupa gruzu przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami: ściany się podniosły w rozgrody pokojów starożytnych, wysokich, chmury opadły jak sklepienia, wyciągnęły się długie kurytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwemi szybami, cały gmach odetchnął przeszłém życiem, w każdéj części zmartwychwstały ślady mieszkańców. Głuchy odgłos dalekiego grzmotu, było to echo naszego stąpania po brzmiących posadzkach. Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całym dworem, ale wróci. W możność takiego złudzenia nie wszyscy uwierzą, są, którzy je pojmą, krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom. Byłem właśnie w jego pełni, kiedym ujrzał w jedném oknie rosnącą brzózkę. Jéj korzeń trzymał się wewnętrznego gzymsu, a wierzchołek na zewnątrz za okno wychodził, gałęzie wisiały tak posępnie, biała kora tak żywo przypominała biały stroj kobiecy, że mimowolnie zawołałem:

Jaka smutna! Jak gdyby wyglądała kochanka! Biedna.

— Kto taki? — zapytał mię zdumiony Machnicki.

Postrzegłem się, odpowiedziałem więc uśmiechając się:

— Nic! nic! przywidzenie! nic więcéj; naglił powtórném zapytaniem, wyznałem, że w brzozie wyobraziłem sobie dziewicę.

— Cyt! — rzekł z cicha — wyjdźmy ztąd.

Ledwośmy odeszli, rzucił się na mnie z mocnym uściskiem i wołał:

— To nie złudzenie, to rzeczywistość, cud grobu, łaska grobu z panem. Czy wiesz, kogo widziałeś? — zapytał uspokoiwszy się nieco. — To królowa Jadwiga. A widziałeś ją w najważniejszéj chwili jéj życia. Serce jéj rozdarte najboleśniejszą raną. W jedną stronę ciągnie ją miłość Wilhelma, w drugą miłość narodu. Przemogło poświęcenie się dla narodu, ale boleść nie ustała. Wygląda z trwogą przybycia Jagiełły; przyjmuje go jak męża i pana, ale łzy dla kochanka płyną. Szczęśliwy, kto ją widział w téj chwili, choć raz w życiu; widział on tryumf miłości narodu. Szczęśliwy jesteś. Dusza twoja przejrzała; spodziewałem się tego. Odtąd jeszcze otwarciéj będziemy z sobą. I mnie ten widok nie obcy, ale rzadki. Najczęściéj przedstawia się jak drzewko. Między nami gadają, że to wszystko było gdzieś tam, w jakimś Krakowie. Nie wierz temu, i Kraków tutaj, i cała ta scena tu się odbywała. Wiem to z ust własnych.

— Pan z nią rozmawiasz?

— Czy ja z nią rozmawiam! A po cóż byłbym królem tego zamku? Jeżli w nim żyję, to dla tego, że i on żyje. Nic tu nie ma, coby nie żyło dla mnie, coby

ze mną nie rozmawiało! O! jak mię nieraz bawią a najczęściéj gniewają ci powszedni ludzie, którzy tu czasem nie wiem po co przychodzą. Dla nich to drzewa, kwiaty, murawa, nic więcéj, jak tylko zwyczajne drzewa, kwiaty i murawa. Biedni, gdyby im Bóg otworzył oczy, gdyby się chcieli porozumieć ze swoją duszą, padaliby tu na twarz przed każdym kwiatkiem, całowaliby w nogę każde drzewo, nie śmieliby stąpać po téj murawie. Zamieszkaliby tu chętnie na całe życie; i przez całe życie nie napatrzyliby się, nie nasłuchaliby się tego, co się tu działo i dzieje.

Tymczasem przewidywana burza podniosła się na wysokość zamku, powietrze całkiém zciemniało, grzmoty i błyski coraz bliżéj się objawiały, i wiatr z niezwykłą się podniósł gwałtownością. Nie spodziewając się takiéj i tak prędkiéj nawałnicy, nie zapewniłem sobie schronienia; począłem więc być niespokojny i zapytałem Machnickiego, czy nie wie gdzie bliskiéj chaty, w któréjbym bezpiecznie przeczekał pierwszą natarczywość burzy.

— Bądź pan spokojny! — odpowiedział — jestem królem w mojém państwie: wszystko już obmyślone. Nie każdemubym to zrobił, nie zrobiłem tego nikomu dotąd, ale pan masz wszelkie prawo do mojéj gościnności, pod jednym warunkiem.

— Dasz mi najuroczystsze słowo, że nikt nie dowie się z jego przyczyny o miejscu w którém się schronimy.

Dałem słowo z chęcią.

— Chodź pan za mną.

IV.

Podziemie.

IV.

PODZIEMIE.

Związany słowem daném przed chwilą Machnickiemu, muszę zawiesić na zawsze ciekawość czytelnika i zostawić w tém miejscu przerwę opowiadania, któréj może nigdy nie zapełnię. Wolno mi tylko powiedzieć, że nie wychodząc z obrębu gruzów, zatrzymaliśmy się nad głazem znacznéj wielkości. Machnicki zlecił mi obejrzeć się na wszystkie strony, czy nie jesteśmy widziani przez kogo obcego, a kiedy to dopełniwszy, zwróciłem się ku niemu, ujrzałem ów kamień już podniesiony, a na jego miejscu ciemny otwór pod ziemią.

— Spuszczaj się prędko — zawołał.

Zrobiłem jak kazał, on skoczył za mną; w okamgnieniu kamień znowu zapadł i zostaliśmy w zupełnéj ciemności.

— Taka jest brama mojéj stolicy — rzekł Machnicki. — Idź pan za mną, trzymaj się ściany, a pamiętaj, że mamy przed sobą dwadzieścia schodów.

Szedłem, trzymając się kroków przewodnika, macając ścianę i licząc stopie. Schody były wygodne, szyja podziemia tak wąska, że ledwie dwóch ludzi obok siebie pomieścić mogła, bez trudu więc szedłem. Na dwudziestym stopniu zatrzymaliśmy się: Machnicki skrzesał ognia, zapalił lampę stojącą w małéj framudze, jakby umyślnie na to wykutéj, i przemówił:

— To pierwszy dziedziniec mojego pałacu; cóż myślisz o nim?

Powiodłem okiem do koła i widziałem niekształtną jaskinię, obszerności tak nieznacznéj, że jeden rzut oka z któregokolwiek punktu mógł ją całą ogarnąć, chociaż przy świetle tak słabém jak blask lampy. W utworzeniu jéj nie widać było śladu sztuki: pod ścianami stały lub leżały ludzkie kości; na ścianach wisiało kilka zbroi starożytnych mocno zardzewiałych.

— Zapewne to straż pałacowa? rzekłem.

Machnicki potwierdził mój domysł skinieniem głowy. Głównie jednak zwróciły moją uwagę drzwi dosyć wielkie, żelazem pokryte, leżące po lewéj ręce naszego wchodu.

— A to musi być wejście do podziemnego przechodu, o którém powiadają, że się aż pod Krosno ciągnie?

— Może i daléj — odpowiedział Maahnicki obojętnie.

Po krótkiém zatrzymaniu się, przystąpił do innych drzwi podobnych pierwszym, a leżących przed nami, dobył klucza, otworzył je, sprowadził mię o kilka stopni

niżéj, do innéj jaskini obszerniejszéj nierównie niż poprzednia. Z pierwszego wejrzenia zgadłem, że to było jedno z owych okropnych więzień, które koniecznie wchodziły do budowy dawnych zamków; jeszcze wisiały szczątki łańcuchów na żelaznych kółkach wpuszczanych w kamień na ołów. Machnicki nie dając mi czasu do rozpatrzenia się, uchylił jedne z licznych drzwi pobocznych, wprowadził mię do nowéj kryjówki z tajemniczém milczeniem, zapuścił w jéj głębie wyciągniętą rękę z lampą, a ja wyraźnie ujrzałem pod ścianą drewniane i żelazne narzędzia tortur.

Mimowolny dreszcz przebiegł ciało, włosy stanęły na głowie, cofnąłem się za drzwi jak popchnięty. Okropna przeszłość miejsca zawisła przed myślą, jak czarna zasłona, a tłem jéj przesuwały się w ognistém malowidle sceny tyranii, jakich kiedykolwiek naczytałem się lub nasłuchałem w opisach miejsc podobnych, jakie tylko wyobraźnia przerażona ich widokiem utworzyć sobie potrafi. Wrażenie to zagrało na raz we wszystkie zmysły, w powietrzu uczułem duszącą woń trupiéj zgnilizny, każde uderzenie stopy o twardą posadzkę odbite echem jaskini, zamieniło się w jęk przeciągły, ciemność i światło lampy połamana wzajemną walką, wyglądały z poza kolumn samorodnych i z załomów skalistéj ściany, postaciami ofiar mniéj więcéj wyraźnemi, blademi: jak żyję nie miałem podobnego widzenia.

Machnicki stał ciągle w izbie tortur: szybko zbliżyłem się ku niemu, a ujrzawszy przed nami nowe drzwi na pół uchylone, chciałem wyjść przez nie i pociągnąłem za sobą Machnickiego. — O! nie — odezwał się

Machnicki głosem uroczystym — z tego miejsca nie było i nie ma wyjścia, chyba tamtędy.

Na tych słowach otworzył do reszty drzwi uchylone i wskazał za niemi stós kości w dole, a w górze wąski otwór, przez który wpadało cokolwiek dniowego światła:

— Jest to cmentarz więzienia!

— Wychodźmy ztąd! — zawołałem z niecierpliwością — wychodźmy którędykolwiek, byleśmy wyszli — i drząc mimowolnym dreszczem, ciągnąłem w tył Machnickiego.

On przeciwnie miał twarz ciągle obojętną, zimną; uległ mi jednak i wrócił do jaskini więzienia, ale tutaj zatrzymał się, utkwił we mnie przenikające oczy, i mówił powoli, zatrzymując się na pewnych wyrazach, niby przywięzując do nich większą wagę.

— Tak, jest to więzienie zamkowe. Miejsce okropne, okropniejsze może niż ci się wydaje, bo nie widzisz w niém nic więcéj nad więzienie zamku, a ja... ja coś więcéj tu widzę. Jestem jednak spokojny, przynajmniéj taki jak zawsze, a ty drzysz, jesteś cały zmieniony. Dziwi mię to. Cóż lepszego twój świat w którym żyjesz? O rozumni ludzie, jacy wy zabawni, dziwni! Nie obudzisz ich pojęcia, nie domacasz się ich duszy, dopóki nie skupisz wrażeń w jeden piorun, i nie uderzysz ich zmysłów jak piorunem. We wszystkiém zmysły, nigdzie duszy. Nigdzie duszy, któraby swoją potęgą ogarnęła przestrzenie i miliony, skupiła je w mikroskopie jednéj myśli, jednego uczucia. Daj mu za więzienie obszar kilku tysięcy mil, a ma się za wolne-

go; morduj około niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów, a będzie dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoły, szczęśliwy jak w raju. Dopiero kiedy go wprowadzisz między ściany jaskini, kiedy mu pokażesz kości zamordowanych, zabrzęczysz w uszy łańcuchami, kiedy mu powiesz: oto twój świat, oto twoje życie, dopiero wtedy ocknie się, zadrzy, jakby mu powiedziano coś nowego; i tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku? silnych zmysłów? a ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów z użytych, niedołężnéj myśli, skrępowanego ducha. Cała ich mądrość, że znają kilka liter zmysłowych, nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz, i nie nauczysz drugich nic szlachetnego, nic wzniosłego.

Zatrzymał się chwilę, a zmieniając nagle ton głosu i cały wyraz twarzy w łagodniejszy:

— Przebacz! — zawołał — przebacz waryatowi to kazanie. Nie do ciebie ono wymierzone. Nie kładę ciebie na równi z resztą ludzi. Dałeś mi już nie jeden dowód, że dusza twoja ma widzenie silniejsze, rozleglejsze: nie jest na łasce zmysłów. Gadałem sobie ot tak! z potrzeby wygadania się, w chęci jak najbliższego poznania się z tobą; gadałem, bo to jest roskosz pomówić z człowiekiem, który nasz język zrozumie. — Teraz pójdziemy daléj.

Miwo wszystkiego, co Machnicki dopiero powiedział, opuściłem więzienie z prawdziwą przyjemnością. — Wróciliśmy drogą, którąśmy przyszli. Zatrzymaliśmy się znowu w jaskini wyższéj, przededrzwiami, o któ-

rych już wspominałem, a które według wszelkiego podobieństwa zamykały podziemną wycieczkę z zamku na zewnątrz.

Drzwi były mocne i ciężkie; z głuchym zgrzytem ustąpiły pod Machnickiego ręką i odsłoniły nam nowy kurytarz dosyć przestronny, przykro w pół spadający; jakoż po kilku krokach zaczął się nowy szereg stopni prowadzących coraz głębiéj. Skracając o ile można i trzeba opowiadanie, namienię tylko, że przebyliśmy pięć czy sześć jaskiń rozmaitéj wielkości i tyleż pięter schodów mniéj więcéj licznych. Głębokości, w jakiéj byliśmy, po niczém zmiarkować nie mógłem; zdawała mi się jednak ogromną. Szliśmy ciągle podziemiem skalistém. W niektórych miejscach ślad ręki ludzkiéj był widoczny, częściéj samorodna objawiała się przyroda. Uważałem czasem mniéj więcéj obszerne w ścianach otwory, z których domyślałem się różnokierunkowych rozgałęzień tegoż samego przechodu. Szliśmy w takiém milczeniu, że przewodnik nie odpowiedział nawet na kilka zapytań, które mu w ciągu téj wędrówki zrobiłem. Było w tém milczeniu coś uroczystego.

W dziwny téż stan przechodziły wyobraźnia, dusza i wszystkie moje władze: kto nie był w podobném położeniu, ten nie zdoła utworzyć sobie jego pojęcia. Na to potrzeba znajdować się o sto przynajmniéj sążni pod ziemią, śród skał nagich, dzikich, jednostajnych, ze spomnieniami tylko dniowego światła i żyjącéj przyrody, w ciszy tak zupełnéj, że odgłos burzy nieustannie piorunującéj i z całą potęgą, wyraźny z początku, głu-

chnąc stopniami, objawiał się teraz jedynie w ciągłém prawie drzeniu ziemi, i dziwnym jakimś brzęku głazów, którego pod żadnym wiadomym nam dźwięku wyobrazić sobie nie można. Nie pojmowałem równie, dla czego mimo większéj coraz głębokości odgłos ten zamieniał się w coraz wyraźniejszy huk piorunów. Nagle huk ten rozległ się grzmotem tak silnym, jak żebyśmy zwyczajną tylko ścianą przedzieleni byli od reszty świata.

Machnicki zatrzymał się, w twarzy jego ujrzałem podniesienie ducha, promieniące na tle pogodnego, cichego zadowolenia, a w całéj postawie coś tryumfalnego.

— Słyszałeś ten piorun? — zapytał mnie.

— Słyszałem.

— Wiesz co on znaczy?

Odpowiedź w duchu zapytującego nie łatwa była. Machnicki, bądź widząc mój kłopot, bądź przez zwykłą sobie żywość, która często nasuwała mu rozwiązanie własnych jego zapytań, przyszedł mi teraz w pomoc.

— To strzał powitania! — odpowiedział — powitanie królewskie, nie prawdaż? A tę niespodziankę winien jestem mojemu gościowi — tak, tobie, jak na ten raz jestem ją winien, mój gościu szanowny! — dodał, ściskając mię serdecznie za rękę. Za chwilę sam to pojmiesz.

Po tych słowach postąpiliśmy naprzód kilka kroków, stanęliśmy przed niewielkiemi drzwiami; Machnicki otworzył je lekkiém ku sobie pociągnięciem, i wprowadził mię do nowéj jaskini.

Tu obracając się do mnie, rzekł z pewną urzędową powagą.

— Nakoniec jesteśmy u celu naszéj wędrówki. Otóż i stolica króla zamczyska. Stolica, pałac, więzienie, piekło, raj, co chcesz. Ale o to mniejsza, dosyć, że cię witam, w téj chwili jak gospodarz gościa, jak brat brata; powitanie królewskie na późniéj zostawimy. Jesteś znużony, nie prawdaż? odbyłeś przechadzkę mordującą, pora późna, lekki posiłek nie zawadzi, wszak tak? pozwolisz więc, że zacznę od ugoszczenia podróżnego. Gościnność to cnota naszych przodków rodzima, wielka, święta, jeden z klejnotów domowego ich życia. Znam całą wartość podobnych skarbów; nie pozbyłbym się najlichszego z nich za nic w świecie: to podstawa publicznéj narodowéj potęgi. A jeżeli kto, to król powinien dawać przykład troskliwości o nie. Siadaj więc i spocznij. Albo lepiéj, zostawiam ci zupełną wolność. Jesteś zapewne ciekawy, rozpatrzyć się w moim pałacu. Rób, co ci się podoba, ja tymczasem zajmę się posiłkiem.

To pozwolenie było mi bardzo na rękę. Pałac Machnickiego, jak go nazwał, zasługiwał ze wszech miar na bliższe rozpatrzenie się, sądzę nawet, że rysem jego dogodzę potrzebie czytelników, którzyby mieli dłuższą cierpliwość towarzyszyć aż do końca mojemu pobytowi z Machnickim.

Jaskinia ta była obszerniejsza jak wszystkie zwiedzone dotąd; miała ona kształt wielokąta okrągłego, około pięćdziesięciu stóp obwodu, ile od oka sądzić mógłem. Do téj budowy wchodziły dwa ogromne gła-

zy, poziomo względem siebie leżące; niższa, główna część pieczary wykuta była w głazie spodnim, wierzchni zaś wyżłobiony wklęsło, tworzył sklepienie; rozdzielała je szeroka szczelina opasująca niby gzymsem całą jaskinię. Szczelina ta, w stronie przeciwległéj drzwiom wchodowym, rozszerzona sztuką w okrągłe otwory, a z resztą założona kamieniami, zamieniała się w samorodne okna, które przez swój kształt lejkowaty na zewnątrz jaskini, dawały swobodny widok na ogromne płaszczyzny u stóp zamkowéj góry leżące, i wpuszczały wewnątrz tyle dniowego światła, ile go potrzeba było, aby się obejść bez sztucznego oświecenia. Dotąd dwa takie okna widziałem; za ich pomocą przekonałem się, że góra z téj strony zbiegała urwisto do dołu. Wewnętrzne urządzenie i przyozdobienie pieczary dziwny miało pozór: ściany, sklepienia, posadzka nawet były mchem nałożone tak grubo, że widok głazu ginął pod nim zupełnie. Kątowatość ich obwodu tworzyła kilkanaście ścian, z których co druga ściana wyrobiona była w głęboką framugę. Ściany wystające ozdobione trofeami ze strzał, mieczów, strzelb, pancerzy i innéj broni, bądź dawnéj, będź nowszéj, tak, że to ubranie dawało pieczarze pozór zbrojowni, a przynajmniéj jakiegoś muzeum rycerskiego; gdzie niegdzie wisiały herby kamienne, ocalone widać resztki z gruzów zamczyska, kilka starych portretów, a nawet kości ludzkie pomieszane w trofea broni. Szczelinę o któréj wspomniałem wyżéj, że opasywała pieczarę nakształt gzymsu, przyozdabiał łańcuch kul rozmaitéj wielkości, poprzerywany w odstępach wymierzonych trupiemi gło-

wami, co wszystko razem dziwny przedstawiało widok i niepojęte robiło wrażenie. Za ramy do framug służyły pęki młodych drzewek: każdy pęk przewiązany w połowie swojéj wysokości, rozdzielał się od przewiązki na dwie części, i wierzchołkami ich łączył się na obie strony z pękiem najbliższym, w tenże sposób urządzonym, tworzył się ztąd do koła pieczary szereg kolumn i łuków gotyckich. Nad to pod każdą ścianą były wygodne siedzenia z kamienia jednorodnego ze ścianami. Framugi zasłonione makatami i adamaszkami, ocalonemi widać szczątkami zamkowych obić.

Najmocniéj zajęła mię framuga na prost drzwi wchodowych leżąca. Po obu stronach jéj otworu słały dwa szkielety, odziane całkowitém uzbrojeniem dawnych husarzy, z kopiami tak nachylonemi ku sobie, że proporce ich zwisłe aż do ziemi, układały się w rodzaj zasłony. Nad wnijściem wisiał rozpięty orzeł rzeczywisty.

Idąc od tego miejsca ku drzwiom lewą stroną pieczary, w najpierwszéj z porządku framudze, znajdował się mały księgozbiór; składał się on z kilku set książek, między któremi największa część, jak mi się zdawało, starych kronik; na środku stał stolik do pisania z całym stósownym przyborem i wygodném staroświeckiém krzesłem. Sam stolik roboty prostéj, ale dosyć starannie ogładzony leżał na czterech klockach, korą okrytych, po dwa w głoskę X związanych; a tak był ustawiony pod jedném ze spomnionych okien, że pasmo światła, jak raz na niego padało i pracującego przy nim oświecało dostatecznie. Na stole leżała ogromna

księga, w większéj połowie zapisana. W następnéj framudze była sypialnia Machnickiego: za łóżko służyła ogromna kamienna płyta, wzniesiona o pół łokcia na posadzkę, i grubo mchem usłana; pościel zaś składała się z łosiéj skóry, poduszki skórzanéj i koca do przykrywania.

Co się tyczy innych framug, wszystkie prawie służyły za skład jakiś: i tak jedna zapełniona była materyałami potrzebnemi do stolarki, ślusarki, szewstwa, krawiectwa, w drugiéj złożone były stósownie do różnych rzemiosł narzędzia, jako to siekiery, heble, piłki; w dalszych mieściła się śpiżarnia, składała się ona z owoców, nabiału przyprawnego, suchych ryb, wędzonych mięs, jarzyn, chleba, i tym podobnéj żywności. O ile opisane miały pozór powszedni, o tyle zajęła mię ostatnia. Leżała ona po prawéj ręce miejsca zasłonionego proporcami, pod oknem do pierwszego podobném, odpowiadając bibliotece. Miała kształt półokrągły; wysłana była mchem, jak cała pieczara, tylko nierównie ozdobniéj i smakowiciéj, a na tło mchu rozrzucono konchy, muszle, świecące kamyki, szkła różnokolorowe, robaczki o błyszczących skrzydełkach i tym podobne. Głównie jednak przyozdabiało ją okrągłe lustro: zrównoważony przypływ i odpływ wody utrzymywał je w stanie wiecznego wygładzenia; dodawało mu blasku okno jakby umyślnie na to wyrobione, ożywiał zaś lekki podziemny szelest, który szeptał o tajemniczych drogach jéj nurtów, a nie kłócił bynajmniéj spokoju powierzchni. Musiała to być godowa izba Machnickiego gdyż u dołu całéj ściany wystawało półkołem kamienne

siedzenie, a siedzenia dotykał stolik umieszczony, jak raz na jego połowie: w téj chwili stało na nim śniadanie, do którego właśnie mię wezwano. Wprawdzie dostarczyła go tylko śpiżarnia Machnickiego; nie było tam nic więcéj oprócz séra, masła, owoców, mięs wędzonych i chleba, a za cały napój woda pod bokiem stojąca, ale potrzebowałem jakiegokolwiek pokarmu, spotkałem się z nim w tak dziwném miejscu i położeniu, zawezwano mię z taką serdecznością, że w całém życiu nie pamiętam chwili jedzenia przyjemniéj spędzonéj. Mógłem oddać się zupełnie téj przyjemności, bo uprzejmy gospodarz wziął na siebie wszystkie niedogodności podobnéj we dwóch biesiady, nawet rozmowę: przedmiot jéj sam się nastręczał.

— Skromny posiłek — mówił on — skromny, a nawet lichy, to prawda; ale królewski, wysoce królewski. Komuż przystoi bardziéj żyć podobnie, jeżeli nie królowi, jeżeli nie takiemu jak ja człowiekowi, który z wysokości swojego stanowiska ogarnia, a przynajmniéj powinien ogarniać miliony biedaków, widzieć wszystkie ich potrzeby, czuć wszystkie nędze. O tak! niech mi się w truciznę zamieni pierwszy kąsek który pożyję, bez koniecznéj potrzeby, niech mój żołądek na wieki się zamknie, jak tylko zażąda zbytkowego pokarmu. Jem tylko tyle, abym żył, tylko tyle, w całém znaczeniu tego wyrazu. Zresztą odwykłem od waszych przyprawnych potraw. Zginąłbym, gdybym zechciał żyć po waszemu. Zaszedłem z przyrodą tak daleko, w tak bezpośrednie stosunki, że jużbym nie mógł przeniewierzyć się jéj bezkarnie. Grzeszę jednak czasami, ale Bóg świadkiem,

że mimowolnie. Kiedy niekiedy muszę zamieszać się pomiędzy ludzi, bo zwykle całe zimy pomiędzy niemi przepędzam, dla spraw mojego królestwa, a wówczas rad nierad muszę zastósować się, choć w części do ich sposobu życia. O! gdybyś wiedział, jak drogo muszę opłacać te wykroczenia; ciężko pokutuję za nie. Pomijam choroby, tortury ciała; ale umysł, serce, dusza, wszystko idzie pod chłostę, myśl gaśnie, serce stygnie, dusza wpada w jakiś dziwny zawrót, opuszcza mię cała moja królewskość; nieraz jestem już bliski zostać jednym z waszych rozsądnych. Dzięki Bogu, że to wszystko trwa pewny czas tylko; pokuta przemija, jednam się z przyrodą, państwo wraca do posłuszeństwa, i jestem znowu królem jak byłem. Ale o to mniejsza. Jakże znajdujesz moje królewskie mieszkanie?

— Prześliczne! — odpowiedziałem bez namysłu — dziwne! tak poetyczne, że opis jego może się wydać zmyśleniem; jedném słowem godne całego państwa i jego władzcy. A uwielbieniu temu równa się ciekawość!....

— Rozumiem — przerwał Machnicki — chciałeś wiedzieć, zkąd się ono poczęło i jak przyszło do tego stanu? — Będziesz to wiedział w swoim czasie; przebacz, że nie zaraz. Powieść za długa, a rzecz ważna, jedna ze świętych dla mnie tajemnic; ubliżyłbym jéj, gdybym ją wyłożył na stół zamiast wetów. Żeby ją godnie opowiedzieć i usłyszeć, potrzeba stósowniejszego miejsca i pory niż chwila jedzenia i stół zastawiony jadłem. Ułatwiemy się wprzody z jedném.

Niebezpieczeństwo byłoby niewczesne i bezskuteczne; poszedłem więc w milczeniu za radą gospodarza; wiedziałem nadto, że nie stracę na tém, jeśli mu zostawię zupełną swobodę postępowania. Skłonność wywnętrzenia się posuwała się w Machnickim aż do namiętności, aż do słabości: podawał się jéj tém swobodniéj, z tém większą roskoszą, im powolniejszego znajdował słuchacza; wtedy powiedział więcéj, niżby chciał powiedzieć. Powinienem jeszcze wyznać, że rozmowa jepo bynajmniéj mię nie nużyła; przeciwnie miała szczególniejszy urok. Tyle tam było życia w głosie, tyle uczucia w każdym ruchu, tyle duszy w całéj postawie, tyle wznioslej fantazyi w pomysłach, tyle trafnego sądu w uwagach, w ogóle taka logiczność, ma się rozumieć logiczność właściwa stanowisku, z którego na wszystko zapatrywał się Machnicki, tyle prawdy i pożytecznéj nauki w głębi jego obłąkania, pod dziwaczną barwą panującéj myśli, w saméj téj myśli coś tak niepospolitego, coś tak rzewnego, że porwany wirem improwizacyi, zapominałem o królu zamczyska, o obłąkańcu, a wchodziłem mimowolnie w stan człowieka, który czyta piękną fantastyczną powieść, lub patrzy na przedstawę jakiéj fantastycznéj sceny.

Znajdywałem się właśnie w podobnym stanie, kiedy Machnicki po krótkiém milczeniu znowu tak zaczął z uśmiechem zadowolenia, że znalazłem jego mieszkanie, jak sobie życzył:

— Przyznajesz więc, że mój pałac jest prawdziwie królewski. Spodziewałem się tego, bo wiem, że patrzysz okiem duszy niepospolitéj. Ale dotąd widzisz tylko ciało; nabierze ono większéj wartości, kiedy ci odsłonię jego duszę, bo w każdéj rzeczy dusza jest wszystkiém. Ztąd zwyczajni ludzie w ciągłém są złudzeniu, że z powierzchowności tylko sądzą. Któryż z nich wejrzawszy na górę zamczyska, domyśli się miejsca, w którém oto jesteśmy i życia, które tu w téj chwili panuje?

— Zmyślenie! bajka! zawołaliby, gdybyś im o tém powiadał. Sami jednak wiecznie tworzą kłamstwa i wierzą kłamstwom. Naprzykład na karb tego zamku i jego króla, Bóg nie wie co plotą; a wszystko tak prozaiczne, drobne, nikczemne. W niczém śladu, w niczém promyka wielkiéj myśli.

Koniec końcow, zamek dla nich to tylko budynek kilkuwiekowy, dzisiaj gruzy na nic nie przydatne, chyba na materyał do jakiéj gorzelni. Machnicki? ot sobie waryat, ale nic więcéj, i zamykają usta spokojni, jak żeby największą prawdę powiedzieli. Nie lepsze od nich kroniki, a przynajmniéj mało co lepsze. Co to za nędza te wszystkie kroniki! wierzyłem im kiedyś; mam je dotąd jeszcze, ale dzisiaj nie wierzę. Prawda, trzeba było cudu, żeby mi się oczy otwarły, ale się otwarły: jestem dziś w samém źródle prawdy. Spytaj kronik o początkach tego zamku? odpowiedzą ci: o, dawny! kilka już wieków stoi. Nie wiedzą nic o tém, że on trwa od potopu. Ziarno jego przypłynęło z wodami potopu, z raju; spoczęło w téj pieczarze,

przebiło swojém kiełkiem skały i wyrosło w zamek. Z czasem, z czasem zamek praojciec rozpuścił swoje korzenie podziemne, Bóg wie, jak daleko, za dziesiąte góry, za dziesiąte wody; Bóg wie, jakie zamki powstały z jego odrośli, warszawski, krakowski, gnieźnieński i krocie innych, i Bóg wie jakie jeszcze powstaną; ale to tylko odrośle; główny ich korzeń tutaj, tutaj kołyska ich dziejów.

— Zdziwisz się, kiedy ci powiem z pewnością, że tutaj mieszkali wszyscy królowie od pierwszego aż do mnie, owe Lechy, Krakusy, którzy nie byli ani takimi Lechami i Krakusami, jak nam kroniki przedstawiają, i żyli nierównie dawniéj, niż pamięć naszych kronik zasięga. Tu miały miejsce najważniejsze wypadki naszych dziejów. Chwile najwznioślejsze, najrzewniejsze, najokropniejsze naszego życia, mają tu swoje groby i pomniki: mówię o tych, które dziejopisowie z łaski swojéj zanotowali, a dopieroż te, o których nie zasłyszeli, których ani się domyślali! I nie mogli zrobić lepiéj, bo nie znali tego miejsca, nie żyli w niém, nie spoili się z niém duszą: a tylko tutaj mogli czerpać wiadomość całéj przeszłości, bo tu jest jądro naszego życia.

— Powiadam ci: nie ma tu ptaka, któryby o téj przeszłości nie śpiewał, nie ma wiatru, któryby nie wzdychał jéj smutkiem; nie ma kropli rosy, któraby jéj łzą nie była: zapytaj każdego cienia chmury, co się po tych gruzach przesuwa, każdego tententu ilekroć nogę postawisz, zapytaj téj wody, co tam wiecznie szepce, a usłyszysz taką powieść, jakiéj żaden

pisarz dotąd nie wymyślił i wymyślić nie zdoła; trzeba tylko umieć zapytać i słuchać.

— Ten orzeł, co go widzisz nad proporcami, to pierwszy orzeł biały, co się wzniósł nad tą ziemią; on jeden opowie ci całe jéj życie.

— Dla tego to osiadłem i zamknąłem się tutaj. Aby ratować życie, trzeba zejść do jego źródła.

— Wyobraźże sobie moję rozpacz, moję wściekłość, kiedy przyjdę do szlachcica i mówię: mój panie, zamek coraz bardziéj niszczeje! — a on mi odpowiada: prawda! ale to takim tonem, jak żeby przyświadczał, że słońce świeci, albo deszcz pada, a myślał o czém innem. Zniecierpliwiony wołam: zamek upada, powtarzam panu; trzeba go ratować wszelkiemi siłami, jak najprędzéj; on zaś na to: nie warto zachodu. Czasem zrobi uwagę, że będzie ładny las w tém miejscu, albo zacznie ubolewać; co za szkoda, że tyle gruzów, byłby kawał roli i kilka kop zboża.

— Obłąkani! głową i sercem! chcieliby wszędzie widzieć swoje liche budowy, swoje warsztaty, swoje zboże. Nie wiedzą o tém, że są miejsca na ziemi, którym jedynie przeznaczono wydawać myśl, pożywienie dusz, milionów: obróć je na użytek pojedyńczego ciała, a będziesz winny świętokradztwa, popełnisz zabójstwo na duszy narodu. Ale do tego nie przyjdzie. Od czegóż byłbym królem? O! dopóki żyję, nie przyjdzie do tego. Oprę się całą potęgą mojéj duszy i duszy zamku. Z ziemią, z powłoką mogą zrobić, co się im podoba; mają przemoc, ale nie dotkną życia; prze-

chowam je, ocalę, oddam w ręce pewne, w silniejsze od moich, a wtedy biada, biada samolubom i zdrajcom!

Nagle umilkł: pierś jego robiła silném wzburzeniem, w oczach gorzał ogień rozpłomienionéj duszy; marszczki czoła połamały się w tajemnicze charaktery groźby: nie widziałem jeszcze podobnego wyrazu w jego twarzy, w niczyjéj może twarzy nie widzałem dotąd wyrazu oburzenia, któryby obok tego łączył w sobie tyle dzikiéj energii i wzniosłości; udałem jednak, że uniesienie to uszło mojéj baczności i mniemałem ulżyć jemu, zwracając rozmowę do innego przedmiotu.

— Co za szkoda — rzekłem — że wszystko, co tu widzę, co słyszę, czego zresztą wolno mi domyślać się, pozostanie może na zawsze w twojéj tylko duszy, zacny panie Machnicki, albo zagaśnie w cieniach twojego podziemia. A tym czasem wiadomość tych dziwów, tych dziejów, o których mi napomknąłeś, mogłaby przynieść światu wiele korzyści, kto wie, czy nawet nie jest mu konieczna. Człowiek człowiekowi, pokolenie pokoleniu zdają swoje prace; tym tylko sposobem dokonywają się wielkie dzieła. Szkoda więc byłaby, żebyś zeszedł bez następcy, i bez zostawienia śladu twojéj pracy i twoich wiadomości.

Niewinny mój wybieg udał mi się: téjże chwili postrzegłem w Machnickim zmianę, jakiéj pragnąłem, burza uczuć ustąpiła z twarzy, została tylko po niéj

pewna uroczystość; z tą uroczystością słuchał mię cierpliwie, i odpowiedział skoro mówić przestałem:

— Obawa twoja chwalebna, ale w tym razie próżna. Następca, mój następca..... opatrzność go wynajdzie, jak mnie wynalazła. Praca też moja nie przejdzie bez śladu. Przekonam cię natychmiast.

Prowadził mię ku stolikowi, na którym leżała uważana już przezemnie ogromna księga.

— W téj księdze — rzekł — wszystko znajdzie ten, kto będzie powołany kończyć moje roboty. Są tu dzieje moje, dzieje państwa, cała jego przeszłość i stan obecny; jest tu wątek wszystkich spraw jego, prawodawstwo, polityka, proroctwa nawet, zgoła wszystka mądrość mojego państwa. Nieomylny to przewodnik królów zamczyska. Nie sądź, że przywięzuję do téj księgi większą wagę niż warta, że to jest księga zwyczajna, zwyczajnie pisana. Nie sądź tak. Pisało ją pióro anioła, pod natchnieniem anioła tego zamku, który wiecznie stoi nad nim i świeci jak południe; wszystko też w mojéj księdze jasne jak południe, święte jak anioł, prawdziwe jak jego obecność w tych miejscach.

— Czyja zaś ręka pisała? czasem moja, nie zawsze moja, a często mnie nawet niewiadoma. Oto masz dowód.

Przerzucił kilkanaście kart i pokazał mi w saméj rzeczy kilka charakterów całkiém odmiennych, jak żeby inną ręką pisanych, co jednak łatwo sobie wytłumaczyć bez uciekania się do nadzwyczajnych przyczyn, że obłąkaniec z tak silną wyobraźnią, zdolny był w gwał-

towniejszych przystępach swojéj choroby, albo całkiém utracić świadomość siebie, albo uważać się za osobę, któréj rolę przybrać mu się podobało.

— Na tém nie koniec! — mówił daléj — dam ci jeszcze ważniejszy dowód, że myślę o przyszłości mojego państwa, i nie chcę zamknąć w sobie samym jego tajemnic. Przystąpiemy więc do najważniejszego obrzędu.

— Dotąd byliśmy z sobą jak gospodarz z gościem, jak prywatny z prywatnym; czas już, abyś mię obaczył w całéj ozdobie królewskiéj, poznał ostatecznie króla zamczyska. Nie myśl, żeby mnie do tego pobudzało proste przywidzenie; o nie! mam ci objawić takie rzeczy, których mi nie wolno objawić tylko z mojego tronu, pod zasłoną królewskiéj powagi, a może i pod bodźcem królewskich cierpień. Pamiętaj nadewszystko, że tym czynem dowodzę ci nadzwyczajnego zaufania. Pewny jestem, że mnie nie zawiedziesz. Rozstańmy się teraz na chwilę. Przez ten czas masz wolność przepatrywać moję kronikę. Nie dziw się, jeżeli za długo zostawię cię w oczekiwaniu. Są pewne obrzędy przygotowawcze, bez których dopełnienia nie wolno mi dawać uroczystego posłuchania.

To rzekłszy, skinął ręką na pożegnanie i wszedł pod zasłonę proporców, a ja zacząłem przezierać zostawioną mi księgę.

V.

Historya Machnickiego.

Вышло из типографии.

V.

HISTORYA MACHNICKIEGO.

Korzystając ze względów Machnickiego, starałem się przejrzeć jego kronikę w czasie jak można było najkrótszym: byłem prawie pewny, że niedługo zostawi mnie sam na sam, przeleciałem ją więc raczéj oczami aniżeli czytałem. *Mimo tego pospiechu*, udało mi się zatrzymać uwagę w kilku miejscach i powziąść z nich wyobrażenie o duchu całości.

Dziwna to była księga; dziwna, jak stan umysłowy jéj Twórcy. Taż mieszanina co w rozmowie logiczności i bezładu, głębokiéj filozofii i obłąkania, wniosków najsurowszéj rozwagi i zapędów rozkiełznanéj wyobraźni, cierpień urojonych i rzeczywistych, wiary w nadzwyczajne powołanie, gorzkich wyrzekań na świat spółczesny, przeczuć, widzeń, proroctw: często wzniosła, nieraz mądra, poezyą ubarwiona wszędzie, cała

jednak nie była niczém więcéj, jak igraszką wyobraźni, obracała się głównie na jedném przywidzeniu, i z niego rozwijała świat zarzeczywisty, życie w sferach urojenia; stąd ciemna po większéj części niepojęta dla umysłów niewtajemniczonych. Głównym jéj przedmiotem były sprawy państwa, porządkiem dziennym zapisywane: znalazłeś tam prawa, postanowienia, urządzenia, protokuły narad gabinetowych, stosunki z innemi podobnego rodzaju mocarstwami, wojny, przymierza, traktaty: obok nich czytałeś sprawy dotyczące osoby Machnickiego, jego pożycia codziennego z ludźmi, z przyrodą: z tego względu był to rodzaj dziennika, który obejmował najdrobniejsze szczegóły życia, najmniejszą czynność myśli, przygody, uwagi wszelkiego rodzaju, pomysły, marzenia, powiastki, wszystkie prawie z niezwyczajnych źródeł, i dotyczące przeszłości królestwa, nawet poezye. Ale klucz do zrozumienia wszystkiego miał tylko Machnicki. Była to kronika świata, który on sam sobie stworzył z żywiołów jemu tylko wiadomych, i zaludnił istotami, którym, jak pierwszy człowiek nadał swoje nazwiska. Weszło w ten świat wszystko, co należało do obrębu zamczyska, dało się przeczuć w jego głębiach, lub miało z niém bezpośrednią styczność: ziemia, woda, skały, kwiaty, murawa, samo powietrze, wszystkie przypadłości światła i cienia, pogody i niepogody. Wszystko aż do kropli rosy zwało się, żyło, miało swój stosunek z całością, swoje w niéj posłannictwo: wszystko związane było w ogół kraju i narodu. Ten kraj rozdrobniony był na podrzędne podziały; nieraz jeden głaz, jedno drze-

wo, stanowiły prowincyę. Pory roku, niebieskie światła, zmiany powietrza, występowały tam jak mocarstwa przyjazne państwa Machnickiego, miały swoje nazwiska, prowadziły z nim wojny mrozem, skwarem. niepogodą, staczały bitwy wichrami, burzami, piorunami. Kości, skielety, składały wojsko państwa i dwór królewski. Cokolwiek mogło jakiś dźwięk wydać, śpiewało mu jak muzyk, jak poeta, rozmawiało z nim: dostrzegłem w kronice nie jednéj pieśni, przepisanéj z ust skowronka, kruka lub skrzypiącego drzewa, nie jednéj powieści, którą wygadał jakiś wiatr wzdychający samotnie śród gruzów, jakieś źródełko szepczące z kamykami: a ten wiatr, to źródło opisane było we wcieleniu fantastyczném, wymienione po imieniu. Co tylko poeta zdoła wymarzyć najniewyraźniéj, Machnichnicki odział to w kształty, ożywił, związał w jeden ogół, zamienił w świat rzeczywisty dla siebie i w ruch działania puścił. Takiego tylko mógłem nabyć pojęcia owéj kroniki; raz że miałem przed sobą, tylko tom piąty, potém, że go przebiegałem z wielkim pośpiechem, nakoniec, że jeszcze i w tém tak pośpieszném czytaniu miałem roztargnienie. Przyczyną mojego roztargnienia była dziwna scena za proporcami, widać scena wstępna do posłuchania. Dotąd nie umiem jéj sobie wytłumaczyć, ale słyszałem to głośną rozmowę Machnickiego, to jęki jego przytłumione, to łoskot jakby biczowania się, to brzęk licznych dzwonków, przeplatane długą głęboką ciszą.

Nagle rozsunęły się proporce i odsłoniły wnętrze framugi nieznanéj mi dotąd. Ściana jéj była czémś

czarném powleczona; w głębi, przy saméj ścianie, na prost otworu, stał krzyż czerwony takiéj wielkości, że końcami ramion dosięgał ścian pobocznych, a wierzchołkiem okna, mającego tenże kształt co dwa powyżéj opisane i umieszczonego na téjże saméj wysokości. Na środku było podniesienie z wielkich głazów, gdzie stało obszerne krzesło, powleczone gdańską skórą, z ledwo dojrzanemi śladami złocistych wzorów, przed krzesłem stał niewielki stolik, na nim leżał kosztur niezgrabnie wyrobiony i rózga brzozowa, po obu stronach stolika dwa krzesła mniejsze, a wszystko w smaku sprzętów, jakie dziś jeszcze widzieć można po starych naszych zamkach.

Machnicki stał między stolikiem a wielkiém krzesłem. Odziany był suknią zrobioną krojem hiszpańskim z łatek rozmaitéj barwy; na głowie miał czapkę z podobnych łatek, okrągłą, śpiczastą, ubraną w błyskotki i dzwonki, krótko mówiąc, taką jaką dawniéj trefnisie nosili; nadto otaczał ją na czole uwiędły wieniec z gałązek dzikiéj róży. Nie mniejszą zmianę jak w stroju, postrzegłem w Machnickiego obliczu. Pogodne przedtém, dobroduszne, przybrało teraz jakiś dziki wyraz gniewu, ponuréj surowości, wewnętrznego cierpienia, a nawet obłąkania wyraźniejszego jak zawsze. Ubiór zapewne nie mało przyczynił się do téj zmiany, ale po większéj części wychodziła ona z wewnątrz. Przykrém, niewysłowioném uczuciem przejął mię ten

widok. Krzesło tak przytykało do samego krzyża, że stojący w téj chwili Machnicki wydawał się, jakby spoczywał na krzyżu. Był to widok zarazem dziko-malowniczy i pełny jakiéjś bolesnéj tajemniczości, zwłaszcza kiedy dodamy strój osoby i czarne tło całego obrazu.

Dał znak ręką abym się zbliżył i przemówił głosem zrazu uroczystym, ale widocznie przytłumionym, który w końcu zamienił się w ton szyderczy:

— Otóż nakoniec widzisz króla Zamczyska! Widzisz go w całym przepychu królewskiego majestatu, w całéj nagości.

— Oto jest purpura! to korona, a tu berło! Patrz! ażaliż nie królewski? Patrz więc i śmiéj się!

To mówiąc, zaśmiał się śmiechem tak dzikim, jak tylko być może najbardziéj wymuszony z bolejącéj piersi, rzucił się na krzesło całym ciężarem ciała, kręcił się po nim jakiś czas, porwał miotełkę, zgrzytnął, uderzył się nią po wieńcu, jęknął głęboko, ale w téjże chwili zaczął się uspokajać, jak żeby przychodził do upamiętania, i utkwił we mnie wzrok więcéj zdziwiony jak obłąkany, widocznie spokojniejszy.

— Jak to? ty się nie śmiejesz? — mówił znowu powoli, powtórzył to samo i ucichł — a toż przecie purpura królewska, ten serdak trefnisia; a ta korona? któżby w niéj poznał koronę Chrobrych? Co za hańba? co za hańba! — zasłonił oczy ręką, z pod ręki wytoczyło się kilka łez. Odsłonił oczy, a na twarzy nic już nie było oprócz głębokiego rozrzewnienia.

— Ale nie moja w tém wina, nie moja. Sam się przekonasz, kiedy ci opowiem. Dla tego wpro-

wadziłem cię tutaj i wszystko odkryłem. Przyrzekłem ci posłuchanie królewskie: chcę spełnić moje przyrzeczenie. Siadaj i słuchaj.

Usiadłem na kamieniu zewnątrz otworu framugi, a Machnicki od tych słów zaczął swoją powieść:

— Podniósłem ci nie jednę zasłonę moich tajemnic, muszę teraz powiedzieć ostatnie ich słowo. Leży w niém cała historya mojego życia. Wyspowiadam się przed tobą jak dotąd przed nikim, jak zapewne przed nikim już spowiadać się nie będę. A robię to nie z saméj potrzeby mojego serca: ale dla korzyści mojego państwa, dla dobra czyjegoś, choć on dotąd niegodny: zresztą, Bóg z nim; nie mnie dano sądzić go ostatecznie. Słuchaj więc mojéj powieści. Będzie ona długa, może nieporządna, jednak nie przerywaj. Nie przerywaj mi, choćbym według ciebie najnieznośniéj bredził. — Nie ostrzegaj mię. Mam ja w głowie ciąg myśli mnie właściwy: tego pasma nigdy się nie puszczę. Zresztą jest coś co mnie ostrzeże, i dotknął ręką swojego kołpaka.

Przestawszy w tém miejscu, zamyślił się, spuścił czoło, zaczął być niespokojnym, widocznie szukał myśli, nareszcie poprawił się w krześle i mówił:

— O! ten początek zawsze mi najcięższy. Najtrudniéj mi przenieść się w tę powszednią przeszłość schwycić koniec jéj nitki najtrudniéj. Jest ona dla mnie jak sen coraz niewyraźniejszy; ale mam ją wreszcie. —

— Trzeba ci wiedzieć, że i ja byłem kiedyś człowiekiem jak wszyscy ludzie; mężem, ojcem, sąsiadem, szlachcicem, urzędnikiem, dobrym nawet urzędnikiem; po całych dniach, a czasem i nocach siedziałem nad rachunkami. Ja myślę, że to był sen tylko: dzisiaj niepotrafiłbym najprostszego dodania. Ale wtedy! o! wtedy nie wołano jak dzisiaj, gdzie się obrócę: waryat! waryat! nie patrzano z litością, z szyderskim uśmiechem jak na waryata, jak dzisiaj. Miałem rozum, bo byłem waryatem jak wszyscy ludzie, nie mniéj, nie więcéj, nie odróżniałem się od nich, uchodziłem więc za porządnie rozumnego. Wszakże powinienem oddać sobie tę sprawiedliwość, że wiecznie nosiłem w sobie zaród mojéj wielkości i przeczuwałem ją i dążyłem ku niéj, chociaż bardzo powoli z początku. Jakiś pociąg osobliwy, niepojęty mi dawniéj, przywięzywał mię do tych murów od niepamiętnych czasów. Było to coś nakształt przeczucia miłości, a potém.... pierwszego jéj objawienia się, a potém.... zwaryowania z miłości.

Wymawiał to powoli, z namyśleniem się, naostatku zadrzał, dzwonki zagrały, a on mówił daléj:

— Nasamprzód z daleka lubiłem patrzeć na zamek. Nie wyglądał on tak dziko jak teraz; stał prawie cały, prawie cały zamieszkany. Wieczorami błyszczały światła z jego okien, we dnie dymy snuły się z kominów; bramy odmykały się i zamykały; szczekały psy, piały koguty; śpiewano, śmiano się, żył pełném życiem obecności, a dla mnie.... żył nadto życiem przeszłém. Miałem już wówczas widzenia prze-

szłości, ale jeszcze ciemne: wystarczało mi zdaleka patrzeć na zamek. Tęskniłem jednak jak do największego szczęścia, żeby w nim mieszkać: i było coś co mi ciągle szeptało: będziesz w nim mieszkał.

— Zdarzyło się, że musiałem porzucić na jakiś czas te strony. To oddalenie dopiero przekonało mię, że byłem zakochany w zamku. Tęskniłem za nim, jak za kochanką. Co noc we śnie go widziałem, niekiedy za całym urokiem kobiecéj piękności. Czy ty uwierzysz temu?

I zamilkł z widoczną chęcią, abym odpowiedział.

— Dla czegoż niemiałbym uwierzyć? — rzekłem. Jakaż inna miłość, jeżeli nie podobna do téj, prowadzi tysiące na śmierć, dla ojczyzny naprzykład? odbiera spokojność, wesołość, rozum, życie? Tylko, że na pozór jéj przedmioty różne. Jeden ukochał swoje góry, drugi swoje wody, ten pałac, tamten chatkę; ale biorąc rzeczy głębiéj, każdy z nich ukochał anioła, ducha swojego narodu, który mu przedstawia zmysłowo, niby w symbolu określonym, najstósowniejszym do jego usposobień i pojęć.

W miarę jak mówiłem, Machnicki wyciągał rękę i przytwierdzał skinieniami, a kiedym skończył, uderzył w stół i zawołał:

— Mówisz zupełnie tak, jak ja czuję. Ale niestety! zawołał znowu po krótkim przestanku, dla czegoż tylu jest, którzy nie czują tego ducha pod powłoką symbolu, i przywięzują się tylko ciałem do ciała. Kochają swój dom, bo ładnie zbudowany, dobrze opatrzony, wygodny, własny; kochają swoję wio-

skę, bo z jéj dochodów mogą dobrze jeść, pięknie się ubierać, wesoło życie prowadzić, robić w niéj, co się podoba, i — mięko zasypiać; kochają swój kraj, bo kraj jest dla nich to samo, co wioska.

— Nie taką miłością pokochałem ja zamek; Bóg mi świadkiem, nie taką: bo i cóż miałem z niego, lub mieć mogę dla ciała? Pokochałem go, że w nim było tyle życia, tyle szczęścia dla wszystkich, a ludzie nazwali to obłąkaniem.

Wzruszył się, dzwonki zagrały, to go uspokoiło, wrócił do powieści.

— Tęskniłem więc i coraz mocniéj. Nie mógłem przemódz owéj tęsknoty: zwłaszcza, że przybył jéj w pomoc niepokój smutnego przeczucia. Urwałem liche interesa i wróciłem. Niedarmo tęskniłem, nie fałszywie przeczuwałem.

— Zamek opustoszał, począł nawet upadać w niektórych częściach. Smutne, okropne wrażenie zrobił na mnie ten widok. Ale téż odtąd jeszcze mocniéj zacząłem przywięzywać się do mojego zamku; zacząłem wchodzić z nim w znajomość jeszcze bliższą. Dusza coraz wyraźniéj ku niemu lgnęła; przeznaczenie ciągnęło mię ku niemu coraz częściéj. Po całych dniach przypatrywałem się jemu, całe nieraz noce w nim przepędzałem i niemiałem już ze strony ludzi żadnych przeszkód. W końcu zaznajomiłem się z najskrytszym zakątkiem. A kiedy niemógłem być w nim, albo nań patrzeć, to miałem obraz jego w głowie, jak wyciśniony na mózgu. Z porządku rzeczy reszta świata poczęła mię coraz bardziéj nudzić. Nie znajdowałem

już rozrywki, tylko w książkach, a między książkami jedynie w starych kronikach. Czytanie kronik robiło na mnie skutek, jaki robi na zakochanym czytanie romansów. Każdy szczegół dziejów, każda chwała, każda klęska, zmierzały do mojego zamku, jak promienie do jednego ogniska. Cokolwiek było pięknego w przeszłości, to go ozdobiło; co było okropnego, to zawisło jak zasłona żałoby na jego wdziękach.

— Tym sposobem zamknąłem w nim całą przeszłość, całą przyszłość w nim uosobiłem. Ale miałem jeszcze rozum. Przynajmniéj ludzie uważali mnie jeszcze za rozumnego. Nie widzieli mojéj duszy: wstydziłem się ją odkryć. Czy uwierzyłbyś temu, że się wstydziłem mojego stanu duszy? Do tego stopnia byłem kiedyś powszedni, słaby, głupi. Co gorsza, wyrzucałem sobie nieraz to uczucie, walczyłem z niém, chciałem je zniszczyć. Na szczęście moje, postanowienie to zapóźno mię napadło. Jednak wdzięczny mu jestem, ono przyspieszyło chwilę stanowczą. Opowiem ci teraz ten wypadek najważniejszy w mojém życiu; ten tryumf mojéj królewskiéj przyrody.

— Opanowała mię właśnie jedna z chwil owego wahania się i głupiego postanowienia. Poszedłem za jéj popędem i zabrałem się szczerze do moich urzędowych rachunków. Nie wiem, skąd wydobyłem z siebie tyle siły; nie wiem jakim sposobem znalazły się jeszcze myśli nie podbite od mojéj miłości, że na czas jakiś ustąpiła im zupełnie i zostawiła liczbom wolne pole. Interes urzędowy był pilny, praca trudna i długa. Przejąłem się całą ważnością mojego urzędu. Trzy

dni i trzy nocy pracowałem, z małemi przerwami dla jedzenia i snu. Przez cały ten czas liczbami tylko myślałem, tak, że w końcu wszystkie myśli zamieniły się w liczby; liczby układały mię do snu i budziły, na jawie jak we śnie liczby latały przed oczyma, w którąkolwiek stronę oczy obróciłem. Nic nie słyszałem, nic nie widziałem do koła siebie, oprócz przedmiotu mojego zatrudnienia. Aż w końcu.... pamiętam całą scenę, jakby się powtarzała w téj chwili: odtąd wszystko już dobrze pamiętam. Było to trzeciéj nocy, bardzo późno, może w godzinę po północy. W okna bił deszcz ze śniegiem i wiatr przeraźliwie zawodził. Zresztą wewnątrz domu cicho, jak żeby wszystko umarło. Czułem wycieńczenie z pracy; zdawało się, że siły ostatnie mię opuszczają. Nie przestawałem jednak pisać, ale głoski i liczby wiły się po papierze, zrywały się z pod pióra, krążyły w oczach jak rój owadów; wiersze całe snuły się w różnych kierunkach, jak te wstążki ognia, kiedy dziecię rozżarzoném łyczywem w różne strony macha. Straciłem z oczu świecę, zgadywałem tylko jéj pałanie po nagłych, przykrych zmianach, to rażącego blasku w ciemności, to ciemności w blasku. Naraz całe pisanie zerwało się z papieru, uderzyło na mnie z szumem i wściekłością pszczół rozdrażnionych, obsypało mię całego, wgryzało się w oczy, dzwoniło w uszach, osiadało na mózgu. Chciałem się porwać, upadłem nazad na krzesło bez siły, w téj chwili zupełna ciemność zaległa pokój; powieki spadły na oczy same z siebie, jak skrzydła postrzelonego na śmierć ptaka.

— Byłoż to tylko omdlenie? Wątpię. Utraciłem siły, ale nie przytomność. Widziałem, co się dzieje, gdzie jestem. Czułem do koła siebie i przeraźliwą ciemność i martwą ciszę uśpionego domu: deszcz ze śniegiem bił w okna, wiatr przeraźliwie zawodził. Mimo to rozpływałem się duszą w niewymownie lubym stanie jakiéjś spokojności, swobody, uciechy o których dotąd nie miałem wyobrażenia. Cóżby to było? jak sądzisz?

— Właśnie powiadają — odezwałem się — że zwykle podobne uczucie towarzyszy omdleniu z powolnego osłabienia.

— Ale czy omdlenie może zostawić tak wyraźną pamięć przeszłości i wiedzę obecnego stanu tak zupełną? Czy można w omdleniu śnić tak jasno, żyć tak zwyczajném życiem?

Odpowiedziałem, że tego rozwiązać niepotrafię.

— I nie ma potrzeby, jak dla mnie łamać sobie nad tém głowy — mówił znowu Machnicki — gdyż jestem pewny, że ów stan był czémś ważniejszém, jak zwyczajną słabością, jak omdleniem. Wiesz o tém, że wtedy zgasł i umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy. Ciekawa to była chwila, kiedym przechodził granicę dwóch czasów, dwóch bytów. Jak na dłoni ujrzałem całą moją przeszłość, objąłem ją jedném spojrzeniem, a całą przyszłość w jednéj tylko postaci, w postaci zamku, ale jakiego zamku!....

Zatrzymał się znowu, jak żeby się namyślał.

— Nie! — rzekł — gdyby mi nawet wolno było odsłonić komukolwiek ten obraz, nie znalazłbym na to wyrazów w dzisiejszym naszym języku. Dosyć powiedzieć, że kiedy ujrzałem obok niego życie moje przeszłe, wszystkie jego prace, troski, żądania, nadzieje, plany: zaśmiałem się nad niém, jak nad niewinném głupstwem, z całego serca. Ten śmiech rozległ się w mgnieniu oka tak do koła, z taką siłą, jak żeby cały świat sobą zapełnił, jak żeby mi odpowiedział śmiech całego świata.

— Ale nie była to radość. W tym śmiechu zaczęła się znowu moja przyszłość, moja wieskość, moja męczarnia. Bo różne są rodzaje cierpienia dla ludzi. Ten z za krat więzienia musi patrzeć na niebo wiecznie to samo dla złych i dobrych; tamten przykuty do taczki podziemnéj roboty, dźwiga dzień i noc trupa myśli, któréj swoje życie poświęci, temu tortury łamią kości, nie mogąc złamać ducha, który sercem ogarnął; temu przeznaczono każdy śmiech nieprawości boleśną łzą odkupywać, ale są inni, których postawiono światu na cel, aby szyderski uśmiech przeszył w nich każdą myśl kochającą, każde uniesienie poświęcenia i nadto kazano im samym śmiać się z tego, co właśnie bóle śmierci przynosi. Cierpieć dla wszystkich i konać śród śmiechu wszystkich, a często własnego, to nie lżejsze od innych tortur.

Dreszcz mimowolny całego ciała przerwał w tém miejscu Machnickiemu, ale zdaje się, że głos poruszonych dzwonków przywołał go do porządku, bo znowu natychmiast zaczął.

— Otóż, zaledwiem się zaśmiał, kiedy usłyszałem do koła siebie niby jego echo, i dźwięk jak żeby wiatr gwałtowny zatrząsł oknem. Otworzyłem oczy, zwróciłem się ku oknu i ujrzałem w niém wielką światłość, niby od pożaru, a w téj światłości postać ubraną, jak nam opisują ubiór dawnych trefnisiów, jak zresztą mnie dzisiaj widzisz, z małemi odmianami. Pojąłem wtedy, skąd pochodził śmiech i dźwięk. Nie skończyłem jeszcze téj uwagi w duchu, kiedy postać dmuchnęła ku mnie po dłoni i znikła.

— Okno zamknęło się z nowym dźwiękiem, kiedy niekiedy zagwizdało wiatrem, jak coraz dalszym chychotem, a blask co bił przez nie, w téjże chwili zagasł całkiém. I wszystko znowu jak było wprzódy. W całym domu cichość, po ścianach pluska deszcz ze śniegiem, i świeca znów gore. Rzuciłem okiem na stół, widzę, na papierach czerwieni się jakiś listek; biorę go, zapisany; czytam bilecik:

— Panie Machnicki! zamek w niezpieczeństwie. W tobie jednym jego nadzieja. Przybywaj jak możesz najprędzéj. Czeka cię królestwo. Tylko spiesz się. Twój sługa i przyjaciel Stańczyk.

— Ten list chowam dotychczas jako najdroższą pamiątkę nowego mojego życia. Jest to niejako dyploma mojéj królewskości. Powinieneś go widzieć.

To mówiąc, odemknął wiszący na jego piersiach medalion, kazał się zbliżyć i podał mi z uszanowaniem, nic innego, tylko uwiędły czerwony listek, stoczony w połowie przez owady. W pozostałych nitkach włókien, można było wprawdzie dostrzedz jakichś

fantastycznych znaków, ale nie było żadnego podobieństwa do pisma. Czuł to zapewne sam Machnicki, gdyż się odezwał:

— Pisanie to nie dla wszystkich. Trzeba być wtajemniczonym w moje państwo, żeby je odczytać; niemniéj przeto pojętne dla mnie i drogie.

Oświadczyłem zupełną wiarę w to, co mówi, oddałem listek napowrót, a on schowawszy go, tak daléj prowadził swoję powieść.

— Treść listu przeraziła mię niewymownie. Pewny byłem, że w zamku pożar: wprowadziła mię na tę myśl, niezwykła jasność, którą przed chwilą widziałem. Nie rozmyślałem długo, nie wahałem się: wyskoczyłem przez okno, wpół rozebrany, jak byłem, i biegłem do zamku pomimo ciemności i słoty. Przybywam nakoniec, nie widzę żadnéj zmiany, żadnego niebespieczeństwa. Miałżeby to być figiel trefnisia? Chciałem się gniewać, chciałem zrazu natychmiast powrócić, ale bieg nadzwyczaj szybki wyczerpał ze mnie wszystkie siły. Nie mógłem dłużéj ustać, mimowolnie padłem. W téj chwili zdało mi się, żem ujrzał Stańczyka, skaczącego wierzchem murów, ze śmiechem diabelskim. To zgniewało mię do reszty. Postanowiłem zrobić figiel za figiel i nie ruszyć z miejsca, choćby mi tam przyszło umrzeć z głodu. I dotrzymałem. Dwa dni z zamku nie wychodziłem, dwa dni żadnego nie wziąłem posiłku. Osłabłem na śmierć. Na drugą noc zawlokłem się do baszty, i tam postanowiłem przyjąć, cokolwiek mię spotka. Snu nie miałem: gorączka coraz większa ciągle mię rozbudzała: marzyłem tylko, i dla

tego widziałem wszystko, co się koło mnie działo. Widzieć nie mógłem już to dla ścian, już dla nocnych ciemności, słuchem jednak byłem ciągle śród dziwów owego czasu. Niewyraźnie prawda i może nie wszystko słyszałem, bo nieustające burze, wiatry, szum, ulewy, szalały jakby umyślném zaklęciem wywołane; ale to, co słyszałem, mogłoby rozsadzić każde ucho. Jakieś gwary, krzyki, jęki, jakiś ruch i krzątanie się całych tłumów, to znowu tentent pojedyńczych kroków, to na ziemi, to gdzieś pod ziemią: ale tego wypowiedzieć niepodobna, a jeszcze może niepodobniéj w to uwierzyć. Mnie samemu zdawało się czasem, że w tém wszystkiém nie ma nic oprócz gwaru drzew, igraszki wiatrów, jedném słowem, zjawisk powietrza, miotanego zwyczajną burzą: późniéj dopiero przekonałem się, że to była rzeczywistość, któréj wtedy niemiałem jeszcze wyobrażenia. Tylko téż pamięć na słowa listu pomogła mi przetrwać ów stan nieznośny. Wiły się one ciągle pomiędzy wszystkiemi myślami, a w miarę tego, jak wracały uporniéj, zamieniły się w wiarę, i w końcu zostały jedną myślą wyraźną, skupioną, potężną, która już wtedy zaczęła pokrzepiać moje siły moralne i podnosić ducha nad ciało. — Obojętnie począłem na śmierć patrzeć; byłbym już umarł z myślą królewską.

— Tak nadeszła chwila, która ostatecznie miała rozjaśnić, co dotąd było jakby niewyraźném przeczuciem. Spałem, czy nie spałem, tego dobrze niewiem, kiedy mię coś gwałtownie za rękę targnęło. Otworzyłem oczy i ujrzałem przed sobą tę samę po-

stać, którą w oknie widziałem, jedném słowem, Stańczyka. Trzymał w ręku latarnię, mocno był pomieszany, łzy nawet w oczach. — Wstawaj — zawołał —i chodź czémprędzéj. Niemamy chwili do stracenia. Czeka cię posłuchanie królewskie. Za chwilę zostaniesz królem — Wstawaj!

— Na te słowa uczułem w sobie znowu dawne siły. Porwałem się równemi nogami; przebiegliśmy szybko dziedziniec zamkowy, kilka pokojów, i stanęliśmy w głównéj zamkowéj sali. Leży ona dziś w gruzach, oddawna. Późniéj, przy spokojności pokażę ci miejsce po niéj. W sali uderzył mię widok nieznany, niesłychany. Wyobraź sobie zebranych w jeden tłum wszystkich naszych monarchów, począwszy od nieznajomego nawet dziejom; z żonami, z dziećmi, z całemi rodzinami, w koronach, w purpurach monarszych, w całym przepychu mocarzy namaszczonych najwyższą władzą, w promiennym blasku tylu imion wiecznych, w czarodziejskim uroku piękności tylu królowych. Martwe malowidło podobnego zgromadzenia, jużby ci wyrzuciło duszę z kolei zwyczajnego stanu, a dopieroż widzieć to wszystuo żywe. Nie dziw że można zwaryować po takiém widzeniu, nie żal zwaryować, żeby mieć takie widzenie. Sam to przyznasz.

— Wszakże mimo olśnienia od podobnego widoku, przelotny rzut oka wprawił mię w niespokojne podziwienie, w stan żalu, pomieszanego z przerażeniem. Wszystko tam było w niezwyczajnym ruchu, na niektórych twarzach widziałeś rozpacz; stąd odzywały się męską piersią przekleństwa, tu słyszałeś łka-

nia kobiet; inne modliły się, klęcząc i łamiąc ręce w milczeniu, Wyobraź sobie dom w pożarze, a mieszkańcy ratują co mogą i uciekają; albo jeszcze lepiéj dom napadniony przez zbójców. Tak tam było w owéj chwili. Jeden tylko mąż zdawał się panować całemu temu nieładowi. Siedział on w głębi sali, na wielkim głazie, z ponurą ale męską rezygnacyą. — Uzbrojony był dawnym rycerskim obyczajem od stóp do głów. Przy nogach leżał szyszak otoczony koroną; na wielkiéj szabli, a obok miotełka brzozowa. Białe miał włosy, jak puch białego gołębia, a twarz..... podobną widywałem na obrazach Bolesława Chrobrego.

— Ku niemu szliśmy prosto. Ukląkłem mimowolnie przy jego kolanach, z uprzejmym wyrazem położył mi rękę na ramieniu, i pamiętam jak dzisiaj, w te mówił słowa:

— Wezwaliśmy cię, Synu, w ważnéj sprawie. Za chwilę porzucimy ten zamek, aby odtąd z innego świata już czuwać nad nim. Cóż robić? Jednak nie rozpaczamy: pozwolono nam zostawić następcę takiego, jakim tylko ty być możesz. I ty nim będziesz, bo naszéj miłości wszystko poświęciłeś; nawet swój rozum. Odtąd jesteś królem tego zamczyska.

— Zalałem się łzami uniesienia, chciałem ucałować nogi mówiącego; ale on kazał mi się podnieść i czekać skończenia obrządku koronacyi. Tymczasem wymówił imię, którego ci nie powtórzę, bo jest pod klątwą wiecznego milczenia w mojém państwie; a na to wezwanie wystąpił jeden z tłumu królewskiego, podobny strojem do Stańczyka i zbliżył się w głębo-

kiém upokorzeniu; na powtórny znak króla rycerza, zdjął z siebie cały ubiór i złożył go na ziemi. Król-Patryarcha zarzucił mi na ramiona serdak, na głowę włożył czapkę i mówił:

— Oto jest królewski twój ubiór. Masz go w puściźnie po najbliższym twoim poprzedniku. Z tą szatą wkładam na ciebie wszystkie cierpienia, hańby: zamień ją w purpurę chwały. W twoje serce zamykam całą boleść téj chwili; czoło namaszczam łzami, które do koła widzisz, ręce uzbrajam tą miotełką mojéj łaźni, będzie ona dla ciebie berłem i mieczem; a skronie twoje — mówił, zrywając gałąź rosnącéj przy sobie dzikiéj róży — opasuję tym wieńcem jak koroną, ażeby kolce jego nie dozwalały ci zasypiać na tronie. Twojém państwem te gruzy; twoją potęgą wielkość ich przeszłości zamieniona w boleść; twoje powołanie panować przez cierpienie śród uciechy. Tym tylko sposobem dopełnisz królewskich powinności i zdasz twoje dziedzictwo godnemu następcy.

— Chciał jeszcze mówić, kiedy nagle odezwała się przeraźliwa trąba przed zamkiem: mnie się zdawało, że pastusza, ale się omyliłem, bo na jéj odgłos zachmurzył się król-rycerz i zawołał:

— A więc i goniec z ostatnią wiadomością. Wszystko już skończone. Dzieci w drogę!

Do mnie zaś tyle jeszcze powiedział:

— Stańczyk wprowadzi cię na królestwo i jest na twoje rozkazy. Żegnaj nam królu zamczyska i panuj jak ci zaleciłem.

— Ledwie mógłem dosłyszeć słów ostatnich, ta-

kie narzekania podniosły się w odchodzacym orszaku. Za chwilę straciłem wszystkich z oczu. Wybiegłem w ich ślady za obręb zamku. Jakiś czas zdawało mi się, że ich widzę, że słyszę bolesne ich pożegnania. Może i tak było, ale wkrótce w miejscu się pozostały tylko skały martwe, drzewa chwiejące się silnym wiatrem i różnogłosy szum wichru. Okropna noc! mało pamiętam podobnych, a żadnéj takiéj.

— Cały świat zajęty był rozprawami: nic dziwnego, że w téj nocy nie uważał, a ja tymczasem królem zostałem i doświadczyłem pierwszéj boleści; część zamku upadła. Upadła wtedy właśnie, kiedy wybiegłem za nimi. Rozpoznałem jeszcze w skałach i drzewach oddalający się orszak, kiedy nagle zatrzęsła się ziemia, w głowie zadzwonił grzmot przeraźliwy, jak żeby piorun w uchu uderzył, a całe powietrze zabielało obłokiem pyłu tak gęstym, że ledwie mógłem oddychać.

Długo nie mógłem kroku jednego naprzód postawić. Skoro wiatr przepędził cokolwiek kurzawę, wbiegłem wewnątrz zamku, kilka pokojów zniknęło pod gruzami. Zapłakałem, ale nie byłem winien. Tylco zaczęłem panować. Od tego to czasu jestem królem. Sam teraz osądź, czy mam do tego prawo, czy jestem przywłaszczycielem, królem z przywidzenia, waryatem.

— Pierwszemu tobie tak się spowiadam. Z innymi ludźmi nie wdaję się w podobne rozmowy. Ni-

gdyby mię nie pojęli. Patrzą na ten zamek, a nie widzą czém on jest, jak coraz bardziéj upada, a nie wiedzą co to znaczy: zginie zupełnie, a dla nich będzie to wszystko jedno. Ani głowy ani serca u nich. Cóż robić z takimi ludźmi? Niekiedy dam im uczuć chłostę mojéj miotełki; a oni biorą to za fantazyę waryata. Do tego stopnia stracili sumienie, że nie czują nawet wstydu; śmieją się z własnéj hańby, z własnéj obelgi najkrwawszéj, jaką człowiekowi wyrządzić można. Powiedzą tylko: Machnicki to złośliwy waryat! i na tém kończą. Bywa, że nie mogę się wstrzymać i wołam w żywe oczy: gdybyście wy mieli więcéj czucia i pojęcia, Machnicki nie byłby dla was waryatem, oddalibyście swój rozum za jego obłąkanie. Ale te wszystkie przymówki, to groch na ścianę. Nie podobna téż wykładać wszystko jak na łopacie. Zresztą możeż być wyraźniejsze słowo, jak te gruzy? — Jeżeli one nie mają dla nich znaczenia, czegóż mają się spodziewać po brzęku słów moich?

— Poddałem się więc wyrokom i sam cały ciężar dźwigam. Sam, własną tylko myślą, podpieram te gruzy jak mogę. Ale są chwile, w których czuję, że upadnę wraz z niemi. One się powiększają z każdym rokiem, a myśl moja coraz słabsza, coraz bardziéj ugina się pod ich ogromem. Każdy kamień pada na nią i robi w niéj szczerbę: coraz mocniéj cierpię, a coraz mniéj jestem w stanie zaradzić złemu. Takie jest moje panowanie, taka moja królewskość!

Posępnie zwiesił głowę i milczał, nagle wstrząsnął dzwonkami, popatrzył wokoło, jakby przychodził

do siebie po śnie przykrym, twarz jego wygładziła się uroczystą powagą, w oczach osiadła duma władzy, wyciągnął prawą rękę jak do rozkazywania:

— Nie, — zawołał — nie upadnę ja tak łatwo. Jestem jeszcze królem. Cierpię wpradzie, jak żaden król nie cierpiał; ale też używam, jak żaden król nie używał, wzniósłem się do najwyższéj ludzkiéj potęgi. Wszedłem w świat duchów, żyję z duchami, rozkazuję duchom. Dla mnie cała przeszłość jak obecna chwila. Przestrzeń tysiąca mil ogarniam jedném spojrzeniem. Dla mnie nie ma nic martwego w obrębie mojego królestwa. Położę rękę na głazie i czuję pod ręką bijące serce, drganie życia, poczynającego się w łonie kobiety. Dotknę się ustami listka! listek oddaje mi ogniste pocałowanie miłości; gałąź ściska mię jak dziecię, gdy je matka pieści. Kiedy przechodzę między różami, róże uśmiechają się jak dziewice i rzucają mi swoje kwiaty pod nogi; murawa, jak tłum ludu uchyla głowy na mój widok. Każde źródło zaprasza mię do siebie i rozprawia mi o przeszłości nieskończone dzieje. Przed muzyką moich ptaków, które mię usypiają i budzą, niech milczą wszystkie muzyki, jakie są na świecie. Pojrzyj na te czaszki, kości, szkielety, zbroje, głazy, to mój dwór żywy, wszystko to żywe.

— Kiedy strudzony kłopotami państwa, wchodzę tu na wytchnienie, wszystko to ożywia, garnie się do mnie. Zasiadamy wkoło; stare kamienie dają mi rady, rycerze gotują broń do przyszłych bitew, orzeł mierzy oczami drogę do słońca: mam przed sobą całe życie

przeszłości, i widzę na jéj kolanach przyszłość, a dla niéj zapominam o obecnéj chwili, o obecnym świecie.

— Jestem król nad króle. Moje ziarnko rozrośnie kiedyś na świat cały. Dla tego tak głęboko skryłem się z niém pod ziemię. O! gdybyś ty wiedział wszystkie tajemnice tego pałacu.

Korzystałem z kilku chwil milczenia, które po tych słowach nastąpiło i rzekłem:

— Tajemnice te nie są zapewne dla podobnych mnie; ale sądzę, że mi wolno wiedzieć, co to jest ta jaskinia, i jakim sposobem przyszedłeś pan do jéj odkrycia?

— Dziwne rzeczy! wszak prawda, że dziwne? — zawołał Machnicki: Mogę jednakże dać jeszcze jeden dowód mojéj dla ciebie uprzejmości, uchylić po części zasłonę tych jeszcze tajemnic. Słuchaj więc jak się to stało.

VI.

Dalszy ciąg historyi Machnickiego.

VI.

DALSZY CIĄG HISTORYI MACHNICKIEGO.

Nim przystąpimy do dalszego powieści Machnickiego, muszę tu zamieścić uwagę potrzebną, ażeby czytelnik lepiéj schwycił charakter jego obłąkania, i nie kładł na mój karb wszystkiego, co go może razić w tém opowiadaniu. Dwa stany objawiły się w nim, ile razy mówił, zwłaszcza *cokolwiek przydłużéj*. Czasem odbiegał głównéj osnowy, jąkał się, mieszał wyobrażenia, łapał wyrazy niewłaściwe, wpadał w powszedniość prozaiczną; było to wtedy, kiedy satyryczna wycieczka do obecnych czasów i ludzi sprowadziła go z toru ulubionych marzeń, gorzki smutek wówczas zwijał niejako skrzydła jego fantazyi, zaciemniał jéj gwiazdę. Lecz kiedy gnał pełnemi żaglami po zwyczajnym sobie poetycznym świecie, kiedy nie spotykał na drodze żadnego żywiołu, przeciwnego jemu, dusza jego wówczas

była muzyczném narzędziem, doskonale wystrojoném, myśl jedną pieśnią, a słowo, z boku rzucone, rozpoczynało tę muzykę z innego tonu, nie psuło harmonii ogółu.

W tém drugiém usposobieniu właśnie się teraz znajdował. Odpowiedział więc na moje zapytanie, jak żeby odpowiedź jego była koniecznym ciągiem tego, co dotąd mówił, jak żeby nie słyszał nawet mojego zapytania.

— Byłem — rzekł — zupełnie szczęśliwy. Wprowadzony przez Stańczyka na królestwo, postawiony przez niego u stéru państwa, puściłem je w ruch dalszy. Ale sprawy te potrzebowały mojéj wszechobecności; osiadłem więc na zamczysku, a stolicę założyłem w dwóch nietkniętych jeszcze od zniszczenia komnatach. Urządziłem je po królewsku. Zawiesiłem całe ściany ozdobami moich marzeń, obrazami dziejów, proroczemi zasłonami. Powietrze ich dyszało tylko życiem mojego świata. Kilkanaście lat które w nich spędziłem, były jedną królewską ucztą. Myślałem, że tam skończę, pragnąłem skończyć. Stamtąd tak blisko było mi do raju: jeden krok tylko, a byłbym w raju.

— Inaczéj się stało. Ostrzegło mię o tém jakieś przeczucie. Dziwne sny, niepojęte widzenia, znaki na ziemi i na niebie, prześladowały mię od jakiegoś czasu bez ustanku, zapowiadały jakąś nadzwyczajną, stanowczą zmianę w mojém życiu. Często śród burzy, olbrzymia głowa jak chmura kładła się nad zamkiem i lizała gruzy ognistym językiem, jak błyskawicą; niekiedy wicher wrzucił we środek poczwarną sowę i pią-

tał jéj skrzydła w mury; trzeba było widzieć, jak się po nich tłukła, aż cały zamek się wstrząsał, dopóki się nie wydobyła; trzeba było słyszeć jéj wycie. W czasie piorunów dziwne jakieś jaszczurki, dłuższe od połozów, snuły się wzdłuż murów, a przez ich skórę przezroczystą ogień przezierał, jak żeby całe ogniem były napełnione. Codzień zjawiały się nowe jakieś gady, potwory. Słyszałeś zapewne, że w pewnych śmiertelnych chorobach ciało ludzkie już na kilka dni przed śmiercią zaczyna się rozkładać w obrzydliwe robactwo. Powiedziałbyś, że zamek był w podobnéj chorobie. Przeczuwałem, bolałem, nie opuszczałem go jednak. W tym stanie doczekałem się Września. Niedawno to było, kilka lat temu. Mijały już pierwsze dni jego. Dusza była coraz niespokojniejsza, zjawiska coraz groźniejsze. Ze świtem dnia jednego powstała niewidziana, niesłychana burza. Dwa dni trwała. Nie wychodziłem z zamku na chwilę. Żyłem w nim jak zwyczajnie; jak zwyczajnie układłem się do snu za nadejściem drugiéj nocy. Łatwo usnąłem, posłyszałem dziwne, przeraźliwe głosy i wołanie, uciekaj! uciekaj! Obudziłem się i postrzegłem Stańczyka. Szarpał mię za rękę i wołał: chódź! chódź ze mną. Nie możesz tu dłużéj zostać! — Dla czego? — zapytałem. — Za chwilę gruzy spać tu będą.

Ścisnęło mi się serce, ale zawołałem:

— Nie! nie pójdę. To moje królestwo, ja jego król! zginę z niém razem.

— Na to Stańczyk odparł:

— Ocalaj się, a ocalisz królestwo. Twoje państwo większe jak myślisz. Chodź tylko za mną.

I wyciągnął mię półgwałtem. Zaledwośmy wyszli, a moja stolica runęła. W moich oczach spuścił się na jéj dach ptak olbrzymi, ognistym jak piorun wężykiem, widziałem to wyraźnie; słyszałem szum z jakim usiadł, przygniótł ją swoim ciężarem, okrył się obłokiem kurzawy ze startych gruzów i razem z nią zniknął.

— Załamałem ręce: a Stańczyk zaśmiał się. Miałem już wybuchnąć najwścieklejszym gniewem.

— No, no, uspokój się — rzekł do mnie z najzimniejszą krwią. Aby dusza była, znajdzie się ciało. I czegóż tu rozpaczać? Widok wprawdzie boleśny, ale nie powód do rozpaczy. Wicher złamał tylko spróchniałą gałąź: pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa, o ile jest nad ziemią, nie zabezpieczysz przeciw zepsuciu; ale pilnuj korzenia, tam życie. Dla tego wprowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcéj zyskasz, jak straciłeś. — Chodź za mną.

— I wskazał mi to podziemie. Z czasem przekonałem się, że słusznie mówił. Jestem znowu królem, ale większym, potężniejszym, jak kiedykolwiek byłem. Prawdziwe to ziarno mojego państwa. Gdziekolwiek znajdę jego okruszynę, podnoszę ją troskliwie i składam tutaj, tym sposobem powoli zebrałem i skupiłem całe jego życie.

— W końcu przyzwyczaiłem wszystkich poddanych do nowéj stolicy. Żyję pod ziemią takim królem, jak żyłem na ziemi. Sam prawie własną pracą ubrałem to miejsce, jak widzisz. Zyskałem i to jeszcze, żem bezpieczny od ciekawych ludzi. Ten odsłoniony bok jaskini, tak wysoko wznosi się nad dolinę i tak jest niedostępny, że z téj strony ptaszemi tylko skrzydłami możnaby dolecieć do mnie. Te okna wyglądają na zewnątrz, jak nora sowy: nikomu na myśl nie przyjdzie, żeby mogło przez nie wyglądać ludzkie oko. Mam źródło niewyczerpane, mam zapas jedzenia dostateczny, podziemnemi przechodami mogę dojść w różne strony, Bóg wie jak daleko. Niemi to rozpuszczam powoli życie powierzonego mi ziarnka, piszę kronikę i czekam spokojnie kresu moich rządów.

— Tak! spokojnie umrę. Robię swoje i zrobię. Mniejsza o to, że dla świata jestem waryatem. Wolę to, niż być niepotrzebnym, niż być kamieniem. Ale i kamienie same nie są martwe. Przyjdź tylko z pełném sercem do niego, to i on da ci swoje uczucie. I on ma przeszłość, życie; nie schodzi ze swojéj drogi, wypełnia co mu przeznaczono: a między ludźmi są zimniejsi, nieczuli, niepożyteczniejsi jak kamień. Pochłonęli, strawili przeszłość, a przyszłości nie dadzą jednego tchnienia. Wszystko dla nich, nic drugim od nich. Rozbiorą ci starożytną budowę na progi do swoich nędznych lepianek, a nie przyłożą się do nowéj, spólnéj, choćby jedną cegiełką.

— Co nas to obchodzi? alboż nie mamy gdzie mieszkać?

— Wołaj do nich: ratujcie stary zamek, to pień, z którego wyrosły dzisiejsze wasze domy; bez niego nie byłoby tych waszych mieszkań, oni ci na to odpowiedzą:

— Albo my głupi leźć pod gruzy, żeby nas pogniotły.

— Nikczemnicy! nie byłoby gruzów, żebyście wcześniéj byli pomyśleli o naprawie. Oni zawsze swoje: niech się wali, kiedy czas jego przyszedł. Niech się wali!....

Czy wy myślicie, że będziecie na to patrzeć tak bezpiecznie, jak bezpiecznie patrzycie, kiedy pająk muchę dusi? Czy wy myślicie, że przeszłość, co go stawiała, nie myślała o przyszłości nic a nic? Wiecie wy o téj tajemnicy pewnych budowniczych, którzy zakładają swoje budowy nie na martwym tylko kamieniu, ale poświęcają duchowi opiekuńczemu najdroższe czasem głowy. Otóż przeszłość budując, daje w zakład głowę przyszłości. Ten zamek na wasze głowy założony. Wy to będziecie kiedyś odpowiadać za byt jego. Nowemu czasowi potrzeba będzie tego miejsca na nowy budynek. Przyjdą robotnicy, zaczną uprzątać gruzy, będą je ciskać naokoło. Nie ufajcie w odległość. Jak widzisz górę zamkową, tak będą kiedyś lecieć i toczyć się z niéj kamienie na wszystkie strony. Dostanie się od nich zarówno dalszym, jak i bliższym. Zrozumieją mię wtedy. Przyznają waryatowi rozum. Słowa waryata będą krążyły jak pieśń prorocza. Ale

biada temu, kto lekceważy niemiłe sobie proroctwa i czeka niewierny z założonemi rękoma, aż je przyszłość rozwiąże.

— Przyszłość rozwiąże, tylko że drogo trzeba jéj za to płacić. A jednak żal mi tych ludzi, wielki żal.

— Oni musieli ci inaczéj o mnie nagadać, bo pewnie gadali; oni muszą mię uważać jak człowieka, który już nie ma nic spólnego z ludźmi, najmniejszego dla nich spółczucia. Nie wierz temu, oni się mylą. Powiadam ci, że codzień nad nimi płaczę, nawet śmiechem.

— Kiedy wejdę pomiędzy nich, w takie n. p. zebranie, jakie było wczoraj, kiedy spojrzę na tę młodzież, na te kobiety, na te dzieci, kiedy widzę ich szczerą wesołość, ich taką miłość dla siebie, nadzieje takie promienne, tyle przyszłego szczęścia w marzeniach, a kiedy pomyślę sobie.... nagle stanął, jakby się postrzegł, że miał coś nadto okropnego powiedzieć, mimo to zmienił wyraz rozrzewnienia w wyraz dziwnie gorzkiego szyderstwa i równie z nagła zawołał: wtedy śmieję się im w oczy, bez żadnego względu. Niech sobie tłumaczą mój śmiech jak im się podoba. Wszystko mi jedno. Jest to może najwymowniejsze moje słowo. Jeżeli i tego jeszcze nie pojmują, nie moja wina. Wyraźne ono dla ludzi, co mają czucie głębsze jak kołyska, wyższe jak powała sypialni, przestronniejsze jak gumno. Wyraźniejszego nie wolno mi użyć.

Na tych słowach zeszła nowa scena, która mię wprawiła w mocne chwilowe zdumienie. Machnicki był w natężeniu uniesienia, ja w natężeniu ciekawości, kiedy nagle zciemniło się: spojrzałem w okno i postrzegłem w niém rzadkiéj wielkości puchacza, z rodzaju skalnych, a w téjże chwili usłyszałem kilkokrotnie grobowe jego huknienie. Machnicki porwał się z siedzenia, nawrócił ku ptakowi ucho z niespokojną uwagą, i nie bawiąc, zasunął proporce tak nagle, że nie postrzegłem się prawie i znowu sam zostałem.

VII.

Pożegnanie.

VII.

POŻEGNANIE.

Ptak nie zaraz umilkł, słyszałem kilka razy jeszcze głos jego. Nastąpiła potém głęboka i długa cisza za zasłoną, przerywana tylko odgłosem dzwonków i kroków Machnickiego. Po pewnym czasie zasłona odchyliła się i Machnicki wyszedł w powszednim już stroju.

— Daruj, daruj — zawołał ściskając mi ręce ze szczerą uprzejmością, że tak nagle przerwałem posłuchanie. Sprawy państwa przedewszystkiém, nieprawdaż? Oznajmiono mi ważną naradę, dziś jeszcze wkrótce. Wszak słyszałeś tego ptaka? Nie bierz mi więc za złe, że się musimy rozstać. Sprawy publiczne przedewszystkiém. Dziś jednak czuję bardziéj niż kiedykolwiek ich ciężar. Wszakże nie ostatni raz widzimy się? Spodziewam się, że odwiedzisz mię jeszcze.

Przyjdź, jeszcze przyjdź jutro. Wiele, wiele mam jeszcze do powiedzenia. Co słyszałeś, to niczém jest prawie. Daj słowo, że przyjdziesz.

Na całą tę mowę odpowiedziałem z równą szczerością, że jestem wyrozumiały na powód rozstania się, że nikt nie mógłby mu wziąść za złe téj gorliwości w dopełnianiu obowiązków, że pożegnanie go w téj chwili jest i dla mnie przykre, wszakże osładza je nadzieja powtórnego widzenia się, że je przyśpieszę o ile będzie to w mojéj mocy; nakoniec przyrzekłem, że jutro znowu powrócę. Po tych i podobnych słowach pożegnania, Machnicki zapalił lampę, i oprowadził mię tą samą drogą aż do otworu. Przy otworze miałem jeszcze nowy dowód jego dobrego serca, łatwo lgnącego, kiedy znalazł kogoś po swojéj myśli.

— Odpoczniemy tu chwilę — rzekł — zmordowałem się trochę.

Ja jednak widziałem tylko w tém chęć pochlebną dla mnie dłuższego znajdowania się razem. Usiedliśmy na wschodach. Machnicki wziął mię za rękę i mówił głosem malującym głębokie rozrzewnienie:

— Jak mi żal! jak mi żal, że tak krótko jesteśmy z sobą — i łzy stały mu w oczach. Podobne chwile tak rzadkie są dla mnie; podobne spotkanie prawie nigdy. Wierz mi mój przyjacielu, że tego dnia nigdy nie zapomnę; wieczniebym żałował, gdyby miał być jedynym w mojém życiu. To taka roskosz znaleść w tym świecie powszednim kogoś, coby cię zrozumiał, któremu całą duszę otworzyć można, bez obawy szyderstwa. Przyrzekłeś jednak, że wrócisz. Pamiętaj,

wracaj; jutro, pojutrze, kiedykolwiek, tylko wróć. — Pamiętaj, że czekam, a czekanie to cierpienie i wielkie czasem. Ale jeszcze chwilę możemy być razem.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, przerwał je znowu Machnicki.

— Jaka szkoda, że musimy się rozstać. Nie wiem, co mię tak przywięzuje do ciebie. Może — kto wie — może ty będziesz moim następcą? Ale ty zapewne śmiejesz się w duchu z tych marzeń szalonych i ze mnie!

Zdaje się, że ta uwaga wprawiła go w przykry stan duszy, umilkł na chwilę, zasępił się, nakoniec przechodząc w rozrzewnienie coraz głębsze, zawołał:

— Nie śmiéj się przyjacielu, nie śmiéj się ze mnie. Przysięgam na najświętsze tajemnice mojéj duszy, że w tém wszystkiém nie ma nic śmiesznego.

— O! gdybyś ty mógł przejrzeć mię na chwilę, zobaczyłbyś, co to za przepaść smutku, a jakiego smutku! — tu łzy płynęły mu rzęsnym strumieniem. — Ale ty zstąpisz znowu między ludzi zwyczajnych; słońce mojego królestwa zajdzie dla twojéj duszy; owionie cię morowe powietrze zimnego rozumu; usłyszysz znowu zewsząd: co to za waryat ten Machnicki, mieć się za króla jakiéjś tam kupki gruzów! A ja ci powiadam, że każdy z nich w swoim domu jest takim waryatem, tylko, że nie mają królewskiéj duszy, królewskich moich uczuć.

— O! gdyby je mieli, gdyby każdy z nich był Machnickim na swojém miejscu, wiesz coby nastąpiło? powiem ci pod wielką tajemnicą: wkrótce powstałby

jeden ogromny nieśmiertelny król. Zapewne niesłyszałeś jeszcze o téj dynastyi? A tymczasem ona to jedynie odwiecznie tu panuje. I ja i podobni mnie, byli tylko chwilowymi jéj namiestnikami: ale Pan prawdziwy to ona; była nim i będzie.

— O! będzie. Wiem to dobrze. Ale nie przez tych, których mieszkania widzisz do koła po dolinach, mieszkania wykwintne, porządne; nie! nie przez tych, a sami temu winni; ale sama przez siebie, jak jest Bóg przez Boga. A wtedy kochani moi sąsiedzi, co się dzisiaj ze mnie śmieją, zapłaczą nad sobą; sami nazwą siebie, jak mnie dziś nazywają, ubiorą się sami w moją purpurę, w moją koronę, ale zapóźno: co dzisiaj zasługą, potém będzie karą. Moja i podobnych mnie rola, skończy się; moje tronowe ozdoby wyjdą z mody: nowy król będzie olbrzym, weźmie suknie stósowne do swojego wzrostu. Słońce mądrości i chwały milionów będzie jego koroną, przy niéj reszta będzie wyglądać jak moja czapka.

— A wiesz kiedy to przyjdzie? Na wszystko są znaki, ostrzeżenia.

— Zajrzyj do ewangielii. Chrystus dopiero wtedy zmartwychwstał Bogiem, kiedy ciało jego umarło. Wszak tak? Resztę sam sobie wytłómacz. Ty jeszcze zobaczysz to wszystko. Część téj korony dostanie się i tobie; będzie ona tak wielka, że wszystkie głowy nakryje. Ja skończę w téj, w któréj cierpiałem. Ja już tylko na grób pracuję: o grób was tylko proszę. Niechaj nim będzie kupa tych gruzów, ta góra. Nie potrzeba żadnych napisów. Kto popa-

trzy, zaraz pozna, co w niéj leży: gruz olbrzymiéj myśli. Z tą myślą umrę spokojny.

— Robiłem co mógłem: nie mogę więcéj. Bóg mi świadkiem, że nie mogę. Powiedz–że sam, czy mogę? Może wiesz co jeszcze? Powiedz, a zrobię.

Milczałem, odpowiedziałem łzą serdecznego wzruszenia. I w rzeczy saméj, możnaż poświęcić więcéj nad to, co Machnicki poświęcił? Możnaż więcéj cierpieć?

— Ale ja cię nudzę za długo, a przytém obowiązki moje. Sam przyznasz, że obowiązki przedewszystkiém.

— Żegnam cię więc jeszcze raz, do widzenia. Do widzenia! pamiętaj, mój przyjacielu, mój bracie!

Uścisnęliśmy się z całego serca; głaz otworu podniósł się, wyskoczyłem szybko, głaz upadł, usłyszałem jeszcze głuche westchnienie Machnickiego, jak z grobu, potém cichość dokoła i gruzy.

VIII.

Zakończenie.

VIII.

Zakończenie.

VIII.

ZAKOŃCZENIE.

Sam tedy byłem śród gruzów. Nie byłem sam. Cały czas przepędzony w podziemiu, zalégł pamięć, stał przed duszą, jak sen wprawdzie, ale jak sen bardzo wyraźny. Gdzie się zwróciłem, widmo Machnickiego zastępowało mi drogę; głos jego ciągle brzmiał w uszach; cała mowa jego wcielona w postacie żyjące, fantastyczne, krążyła po duszy rojem marzeń dziwnych, gorzkich, coraz posępniejszych. Usiadłem na gruzach, pojrzałem po okolicy, a cała okolica wydała mi się, jak żebym patrzył na nią okiem Machnickiego, puściejszą, bardziéj martwą jak gruzy, śród których spoczywałem. Ścisnęło się serce, łzy mimowolne stały w oczach, bolesne szyderstwo łechtało we wszystkie uczucia, myśli urągania chwiały głową.

O nędzo czasów! mówiłem do siebie, i taki człowiek jest dla reszty świata niczém więcéj, tylko waryatem? Świat go wyszydza, wytrąca z pośrodka siebie, plwałby na niego, gdyby go nie sądził godniejszym litości jak pogardy; już to najmniéj, kiedy go ma za nic. A tymczasem ten obłąkaniec czuje i myśli, jak nie czuje żaden z litujących się nad nim, jak nie myśli żaden z tych, co się mają za rozumniejszych od niego.

Oni rozumni, a on waryat! A on jednak pojął myśl, któréj oni pojąć nie mogą, i całe swoje życie stósuje do niéj, i każdy krok jego jest jéj koniecznością nieodpartą. Na chwilę nie zboczy z téj drogi; logiczność jego aż w okropność wpada, mimo to idzie wciąż daléj. Obrał sobie zawód, przyjął powołanie, i nie wykroczy przeciw niemu, aż cały puhar do dna wychyli.

Taki obłąkaniec nie powinien-że być wzorem dla tłumu owych bardzo rozumnych? nie więcéj-że on wart od nich? I dla czegóż to wszystko robi? Po co to życie samotności, męczarni, poniżenia? Czy dla widoków osobistych? czy marzy o jakiéj nagrodzie osobistéj?

Nie! pełni swoję powinność, jak drzewo rośnie, jak kwiat kwitnie, jak słońce świeci dla drugich nie dla siebie. Ale w oczach powszedniego świata, to właśnie jest dowodem obłąkania.

O! gdybyście wy wszyscy takiego pomięszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj. Na korzyść pojedyńczych rozumów rozerwa-

liście mądrość ludzkości rozbiliście na miliony bryzgów jéj słońce, rozgrabiliście, jego okruchy zniszczyliście wzajemnie ich powinowactwo, a przez to odebraliście każdéj cząstce jéj blask i ciepło, które wzajemném tylko zasilaniem się mogą trwać i działać: odebraliście im cały przymiot ich nadziemskości.

Wy się o to nie troszczycie: wy chcecie aby te światła były tylko narzędziami waszych osobistych celów, aby tylko służyły waszym potrzebom, aby im tylko wystarczały, a wasze cele, wasze potrzeby są tak drobne, tak ciasne, tak poziome, że się obejdą bez niebieskiego światła i życia; ale jak długo się obejdą? zobaczemy.

Chciałem wyjść nakoniec z tak niemiłego stanu i rozpogodzić umysł wycieczką w okolicę; zerwałem się, popędziłem bez celu między góry i lasy: ale świeża nawałnica tak popsuła drogi, rozmoczyła ziemię, że każdy krok po śliskiém i grzęskiém błocie drażnił jeszcze bardziéj wewnętrzne rozjątrzenie; wpadłem do reszty w zły humor i wróciłem do domu w nielepszym. Nie wspomniałem nikomu o mojém widzeniu się z Machnickim, ale zdradzałem się w każdéj chwili. Przymawiałem mężczyznom, gadałem niegrzeczności kobietom, tak dalece nie byłem panem siebie, że jedna z mających prawo przemawiać do mnie poufaléj, zmuszona była zawołać: czy pan oszalał?

Nazajutrz zabierałem się do powtórnych odwiedzin Zamczyska. Dzień był piękny, obiecywałem sobie, że dla mnie będzie rozkoszny. Inaczéj się stało. Odjechałem w stronę całkiém przeciwną na zawsze. Po

Machnickim wspomnienie mi tylko jednego dnia pozostało.

Gdyby los od mojego życzliwszy dał komu w ręce kronikę Machnickiego, niech ją nam ogłosi, przynajmniéj w wyjątkach. Sądząc z tego co czytałem, z tego co wiem o jéj twórcy, mogę naprzód zaręczyć, że będzie to dzieło rzadkiéj poezyi, a przytém pełne wielkich, nowych i pożytecznych pomysłów, chociaż ubarwionych fantazyą obłąkańca; bądź co bądź, jedyne w swoim rodzaju.

KONIEC.